

A to Polska właśnie



Krzysztof Blińska

A TO POLSKA
WŁAŚNIE

Krzysztof Blinka

A to Polska właśnie

Copyright © by Krzysztof Blinka, 2026

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

Korekta, redakcja

Krzysztof Blinka

Layout, łamanie i skład

Krzysztof Blinka

Obraz na okładce

Grok

Wydawnictwo Szkolny Brulion

Krzysztof Blinka

mail: brulion.szkolny@gmail.com

Egzemplarz bezpłatny

Proces	9
Voucher – czyli jak hartował się kapitalizm	43
Fragile.....	81
Sklep.....	109
Czas zabijania	135
Taka gmina	157
Murzynek Bambo	185
Włodek.....	191

Proces¹

– To musiał być zawał, bo karetka przyjechała dopiero po pół godzinie – cynicznie stwierdził kudłaty sąsiad z naprzeciwka, gdy ratownicy w czerwonych służbowych kombinezonach wynosili na noszach Józefa K.

– Co pan za bzdury opowiada – zachnęła się świeżo natapirowana sąsiadka spod siódemki – widziałam z balkonu, jak przewrócił się na podłogę, i to ja wezwałam pogotowie. To na pewno był udar.

– Do udaru przyjeżdżają po godzinie lekcyjnej – nie dawał za wygraną kudłaty. – Wiem, bo mój szwagier jest ratownikiem. A Pani to się za bardzo nie spieszyła z tym telefonem – dodał, świdrując wzrokiem kobietę.

– Wypraszam sobie. Zadzwoiłam od razu. Proszę – podsunęła mężczyźnie pod nos ekran smartfona. Tu ma pan godzinę połączenia z numerem 112. Mamy siedemnastą, a ja dzwoiłam piętnaście po czwartej, o!

¹ Przedstawione wydarzenia są luźnym opisem prawdziwych doświadczeń osób, z którymi zetknął się autor. Aczkolwiek wszelkie podobieństwa do osób publicznych są przypadkowe.

– Już dobrze! Niech pani będzie. Swoją drogą chłop pewnie nie przeżyje. Błady jakiś był – skwitował sąsiad z naprzeciwka.

Józef K. nieświadom poruszenia, jakie wywołał wśród mieszkańców swojego domu, leżał nieprzytomny na noszach w karetce, która pędziła na sygnale do szpitala na SOR. Sanitariusze, zgodnie z wciąż jeszcze obowiązującą procedurą, pobrali mu wymaz z nosogardzieli i zawartość umieścili w testerze.

– Zanim dojedziemy, będziemy mieli wynik – młodszy ratownik najwyraźniej był zwolennikiem ścisłego przestrzegania przepisów i procedur sanitarno-epidemiologicznych.

– Po cholere się wciąż z tym cackamy? Cała Europa już przestała wariować, tylko my wciąż słuchamy tego głupka, nieodróżniającego wirerii od zakażenia dróg oddechowych. Badanie obecności wirusa w nosogardzieli to jak stwierdzenie, że w worku odkurzacza jest kurz. – Starszy, około pięćdziesięcioletni ratownik, był wyraźnie zdeglustowany.

– Znowu podważa pan konsensus naukowy? – lekarka z zespołu medycznego pokręciła z niedowierzaniem głową. Kiedyś się pan doigra i dyrektor da panu popalić.

– Konsensus naukowy? Niby jaki? Ilu lekarzy i naukowców podpisało się pod rozporządzeniem? Nie słyszała pani o lekarzach, których postawiono przed

Izbą, bo mieli inne zdanie? Kto tu jest heretykiem, a kto inkwizytorem? Znowu mamy wytyczne, co jest nauką, a co nie? I kto ma o tym decydować?

– A pan jest naukowcem, panie Pawle? Nie wiedziałam – lekarka postanowiła sobie poużywać. – Ma pan już doktorat? Jakąś publikację? „Nature”? „The Lancet”? „Cell”?

– Nie, nie jestem. Po prostu uczono mnie, że w nauce każdą z hipotez poddaje się falsyfikowaniu, a nie rozstrzeliwuje się uczonych, którzy domagają się naukowej debaty, uprzednio poddając ich medialno-internetowej nagonce.

W tej milej atmosferze wzajemnego zrozumienia i szacunku załoga karetki podjechała pod szpital.

– Jaki ma wynik? – lekarka zwróciła się z pytaniem do młodszego ratownika.

– Cholera, pozytywny – odpowiedział młodszy z mężczyzn, zakładając maseczkę.

– Rychło w czas – kąśliwie stwierdził starszy, ale karnie założył swoją maseczkę, zakrywając nos i usta.

– A tak przy okazji, mój chłopcze – głos spod maski był niższy i mniej wyraźny – testy wykrywają wyłącznie fragmenty wirusa. I to nie jednego, ale wspólne fragmenty charakterystyczne dla wielu adenowirusów i wirusów grypopodobnych. Mało tego, nie rozróżniają między martwymi wirusami a aktywnymi. Na służówce znajduje się pierwsza linia naszej obrony. Więc to, co

właśnie zobaczyłeś, to pobojuwisko po bitwie. Te dwie kreseczki nie oznaczają wcale, że pacjent jest chory, a nawet zakażony.

– Niech pan przestanie chłopakowi mącić w głowie! – lekarka zaczynała tracić cierpliwość. Była zła, bo jej koleżanka, pracując w nadgodzinach w szpitalu jednoimiennym, prawie pustym przez rok, zarobiła na nowy samochód w niespełna pół roku.

– A pani doktor już się doktoryzowała z biologii molekularnej? – starszy z ratowników odwzajemnił się uprzejmością.

W szpitalu, po dopełnieniu formalności, Józefa K., już ustabilizowanego i z założonymi wenflonami, odtransportowano do pomieszczenia przeznaczonego dla osób, u których stwierdzono pozytywny wynik testu. Pomieszczenie dla takich pacjentów było przystosowanym naprędce kantorkiem, w którym przed pandemią trzymano szczotki, wiadra i środki dezynfekcyjne. Całe podzielone było na trzy segmenty oddzielone od siebie półprzezroczystymi foliami posklejаныmi szarą taśmą. W każdym, tak profesjonalnie i aseptycznie przygotowanym boksie, stało łóżko, także przykryte folią. Przy każdym łóżku stał stolik, na którym czekał na pacjenta respirator. Sanitariusze szpitalni, ubrani jak kosmonauci podczas spacerów w kosmosie, wtoczyli nosze na kółkach z nowym pacjentem i przelożyli wciąż nie-

przytomnego Józefa K. na jedno z łóżek. Podłączyli kroplówki do wenflonów i wyszli.

Józefowi K. świadomość zaczęła stopniowo wracać po pół godzinie. Gdy zobaczył nad sobą nieostry obraz sufitu, był przekonany, że łzawi, więc szybko zamknął oczy. Była wiosna, a K. był alergikiem. Przywykł już do obfitego łzawienia w tym okresie. Trwał tak przez dobrą chwilę z wciąż opuszczonymi powiekami. Instynktownie chciał dłonią zetrzeć łzy z oczu, lecz gdy spróbował podnieść przedramiona, coś boleśnie przytrzymało je w połowie drogi do twarzy. Pacjent potrzebował głową, chcąc w ten sposób pozbyć się łez. Nie poczuł jednak spływających kropli po policzkach. Otworzył oczy. Popatrzył na lewą, za chwilę na prawą rękę. Do każdej były dopięte przewody kroplówek. Widział je obie wyraźnie. „A więc to nie były łzy”, pomyślał. Rozejrzał się dookoła. Uświadomił sobie, że znajduje się w ofoliowanym pomieszczeniu.

– Co jest do cholery? Gdzie ja jestem? – patrzył bezradnie przed siebie. – Zapakowali mnie jak kurczaka w Lidlu. Tylko czekać, aż z góry jakaś łapa sięgnie po mnie i wpakuje do koszyka.

K. spojrzał na kroplówki.

– Ja pierdołę, porwali mnie kosmici! Wysysają mi krew jak w „Wojnie Światów”. A nie – zmiłogował się po chwili – to chyba kroplówki. „Jestem w szpitalu? Co

mi się stało? I czemu wpakowali mnie do tego foliowego wora?”

Józef K. przez kolejne dwie godziny usiłował rozwikłać zagadkę swojego obecnego położenia, poszukując w skrawkach pamięci tego, co się stało i gdzie teraz może być. W gardle mu już zaschło na dobre, tak że nie mógł przełknąć śliny. Postanowił odłączyć się na chwilę od kroplówek, ale po chwili zorientował się, że wystarczyło obie rurki zsunąć z haków stojaka. Ci, którzy podłączali zestaw, najwyraźniej o tym zapomnieli. Ponieważ w pomieszczeniu nie było przycisków wezwania personelu, K. najpierw usiadł na łóżku, a potem pomagając sobie stojakami, na których zawieszono były worki z płynami, wstał i zrobił kilka kroków w stronę miejsca gdzie, jak mu się wydawało, była rozcięta folia.

– No i gdzie łazi? – usłyszał damski, skrzeczący głos, dobiegający zza półprzezroczystej kotary. – Jeszcze się wywróci i będzie ambaras – dobiegło już wyraźniej, gdy właścicielka uprzejmego głosu rozsunęła kurtynę.

Przed K. stała tęgawa pielęgniarzka, której twarz do połowy zasłaniała biała, ale mocno już przybrudzona maseczka.

– Chciałem się czegoś napić. Strasznie mi wyschło w gardle – pacjent zwiesił głowę, chcąc w ten sposób podkreślić swoje wyczerpanie.

– Teraz jedzie na badanie. Po badaniu się napije.

– Dlaczego pani zwraca się do mnie w trzeciej osobie? Czyżbym już umarł?

– No proszę. Przywieźli nam dowcipnisia! Gdy pana wyciągnęli z karetki, nie wyglądał na takiego wesołka. – Kobieta najwyraźniej nie mogła się zdecydować jak zwracać się do chorego.

– Co mi jest i gdzie się jestem?

– Badanie pokaże, co panu dolega. Jest szpitalu miejskim. Proszę usiąść na wózku, zabieram pana na badanie – pielęgniarka podsunęła wózek inwalidzki pod nogi K. – Ale najpierw proszę tu naurynować. – Kobieta podała mu plastikowy kubeczek z żółtą nakrętką.

– Co mam zrobić? – K. wydawało się, że się prześlyszał.

– Naurynować, napisać, no co pan? Wyciągnąć ptaszka i jazda. Tju Tju.

– Proszę się odwrócić – zażądał pacjent.

– No proszę. Jaki wstydlivy. Panie, ja w swoim życiu nie takie małe ptaszki już widziałam – przedstawicielka publicznej służby zdrowia wyszczerzyła zęby na znak, że zadowolona jest ze swojego dowcipu.

– Naurynować – K. mamrotał do siebie pod nosem, usiłując dobrze wycelować w pojemnik. – Powie mi pani, na jakie badanie jadę, czy to może tajemnica państwowa?

– EKG – warknęła pielęgniarka i nie odezwała się już do mężczyzny, aż do chwili gdy zatrzymali się pod

gabinetem z elektrokardiografem. – Pan tu poczeka – odezwała się, wchodząc do sali z napisem EKG.

Po dziesięciu minutach pielęgniarka wprowadziła wózek z pacjentem do gabinetu. Badanie trwało niepełna piętnaście minut, po czym technik wystawiła wózek z pacjentem na korytarz. Przez prawie godzinę K. obserwował przechodzących korytarzem pacjentów, którzy wychodzili na papierosa, odwiedzających chorych, lekarzy, pielęgniarki. W końcu zdecydował się podjechać do najbliższej ubikacji. Gdy otworzył drzwi ze znaczkiem wózka inwalidzkiego, okazało się, że toaleta jest co prawda przystosowana dla niepełnosprawnych, ale nie ma w niej umywalki. K. chciał się napić wody, bo pęcherz opróżnił wcześniej do pojemnika. Wściekły wycofał wózek i szturmem ruszył do zwykłej łazienki. Tu spotkała go druga przykra niespodzianka. Łazienka miała około metra szerokości, nie mógł więc obrócić wózka tak, żeby sięgnąć do baterii zlewu. Ponownie wycofał wózek, wstał niepewnie i przytrzymując się futryny chciał wejść do wnętrza WC, gdy usłyszał za sobą zrzędlawe:

– Kto panu pozwolił wstać z wózka?

– Chce mi się pić, do cholery! Po co robicie mi jakieś badania, jak ja zaraz zdechnę z pragnienia! Od paru godzin nie miałem kropli wody w ustach! – Józef. K nie zaszczycił pielęgniarki odwróceniem głowy.

Ludzie na korytarzu przystanęli, niektórzy odwrócili się w stronę K. i stojącej za nim pielęgniarki. Siostra zrobiła się purpurowa, nie wiadomo, czy ze wstydu, czy ze złości. Zdołała tylko wydukać:

– Jedziemy teraz na echo serca. Po drodze jest sklepik, to sobie pan kupi jakąś wodę.

– Za co? Nie mam przy sobie portfela.

Piguła stała, bezmyślnie wpatrując się w gapiów, jakby u nich szukała ratunku. K. opadł bezsilny na siedzenie wózka, chowając głowę w dłoniach. W tej swojej bezradności oboje mogliby posłużyć jakiemuś malarzowi za alegorię zapaści publicznej służby zdrowia.

– Proszę, niech się pan napije. Jeszcze nieotwierana.

Józef K. poniósł oczy ponad wciąż jeszcze złożone na twarzy dłonie i zobaczył kilkuletnią dziewczynkę z butelką wody mineralnej w wyciągniętej ku niemu ręce.

– Dziękuję ci, kochanie. Bóg z tobą – zakończył podniośle.

W drodze do kolejnego gabinetu opróżnił butelkę. Po dziesięciu minutach czekania pod gabinetem pacjenta położono na łóżku na prawym boku z lewą ręką pod głową. Po kilku minutach lekarz poprosił pacjenta o przewrócenie się na plecy. Diagnosta w ciągu kolejnych kilkunastu minut analizował obraz serca z odbitych fal ultradźwiękowych.

– Proporcje jam pana serca są prawidłowe. Budowa zastawek i osierdzie w normie. Nie widzę nieprawidłowych połączeń. Co panu tak w ogóle dolega? – zakończył pytaniem lekarz.

– Nie wiem. Przywiozła mnie karetka.

– I nic panu nie powiedzieli?

– Nie. Zrobili mi EKG i teraz przywieźli do pana.

– Ale co się panu stało?

– Nie pamiętam. Chyba straciłem przytomność w domu.

– To mógł być zawał. Ale dlaczego przywieźli pana na echo? Tu mam napisane – lekarz pokazał ręką na leciwy monitor komputera – że miał pan zaburzenia rytmu serca i szmery. Miał pan? Ktoś pana osłuchiwał? – doktor spojrział na pacjenta, marszcząc czoło.

– Nie wiem. Zamknęli mnie w jakimś plastikowym wigwamie, a potem ta pigu... przepraszam, siostra, przywiozła do pana.

– Dziwne. – Lekarz przez nieuwagę przesunął sondą po nerkach pacjenta. – O, a tu coś mamy. – Doktor przez chwilę wpatrywał się w obraz. – Tu chyba ma pan jakąś masę albo krwiał na nerce. No ale to badanie nie pozwala mi stwierdzić, co to jest, więc skieruję pana na USG.

To powiedziawszy, lekarz coś zapisał w elektronicznej karcie pacjenta. Po kilku minutach pielęgniarka już pchała wózek z K. z powrotem do namiotu z folii.

Gdy pacjent ułożył się na łóżku, siostra sięgnęła pod szafkę i wyciągnęła plik gazet.

– Teraz pan sobie poczyta, a wieczorem pojedziemy na USG.

Józef przerzucił wzrokiem po stronach tytułowych.

– Ale one są sprzed dwóch tygodni.

– Nie szkodzi. Może mi pan wierzyć, od tego czasu nic ciekawego się nie wydarzyło. Ani w kraju, ani na świecie.

Tak jak zapowiedziała siostra, wieczorem K. przewieziono na badanie ultrasonograficzne.

– Jak skończy, niech na mnie poczeka na wózku. Proszę samemu nigdzie nie jeździć, ani tym bardziej nie łazić – ostrzegła pielęgniarka.

Lekarz po kilku minutach wpatrywania się ekran urządzenia zapytał:

– Właściwie to co panu dolega? Łapie pan często infekcje dróg moczowych? Ma pan utratę masy ciała?

– Nie, nic z tych rzeczy.

– Wpisano panu w karcie: masa lub naciek na lewej nerce.

– To wpisał inny lekarz na badaniu echa serca.

– Że co?

– Lekarz na badaniu echa serca stwierdził, że mam jakąś masę w okolicy nerki albo na nerce. Nie pamiętam już, co dokładnie powiedział.

– Aha. To teraz specjaliści od echa serca zajmują się diagnostyką USG. Ciekawe. Ja tu nic nie widzę. Niepotrzebnie pana tu przywieźli. Może pan już iść.

– Ale mnie musi odwiedzić pielęgniarka. Może pan po nią zadzwonić?

– Ja teraz muszę wyjść. Poczekaj pan na nią na korytarzu.

Józef K. siedział dobre pół godziny na korytarzu, bezmyślnie patrząc na zaciek w narożniku wejścia na OIOM. Przypominał sobie, że właściwie od dziecka unikał służby zdrowia, jak tylko mógł. W dzieciństwie drażnił go zapach lizolu – środka do dezynfekcji i bał się pielęgniarek pohukujących na pacjentów. Gdy był przeziębiony, usprawiedliwienie z lekcji na jeden, dwa dni wypisywała mu matka i z reguły po dwóch, czasami trzech dniach mijały mu objawy choroby. W szpitalu leżał tylko raz w życiu – z powodu wyrostka robaczkowego. Zapamiętał cholerny ból po operacji, obsyfone korytarze szpitala, kible przypominające te na dworcach kolejowych, niesympatyczne pielęgniarki i ordynatora zachowującego się jak udzielny książę, feudal na włościach. Teraz szpital miejski przeszedł modernizację, ale personel, przynajmniej ten niższego szczebla, mentalnie wciąż tkwił w poprzedniej epoce. Takie przynajmniej K. odnosił wrażenie na podstawie dotychczasowego z nim obcowania.

– Pan Józef K.? Pacjenta ze wspomnień wyrwała nachylona nad nim młoda i ładna brunetka w pielęgniarskim kitlu. – Jedziemy do pana pokoju. Ma pan szczęście. Będzie pan sam, więc ma pan telewizor tylko do swojej dyspozycji. Dostanie pan małą kolację i pora spać. Łóżko już przyszykowane.

K. chwilę wpatrywał się w oblicze urodziwej siostry i nieśmiało stwierdził:

– Ale ja miałem pozytywny wynik testu. Mnie przywieźli z izolatki czy może bardziej z karceru, proszę pani.

– Karcer! Dobrze! Muszę to sprzedać mężowi. Uśmieje się. Niech się pan już tym nie przejmuje. Właśnie najlepszy z ministrów obwieścił zakończenie wszystkich restrykcji. No dalej, jedziemy do pana królestwa.

Po mniej więcej minucie stanęli przed salą, kobieta uchyliła drzwi. Oczom K. ukazał się mały pokoik w jasnobłękitnym kolorze, z dwoma łózkami, szafkami, małą umywalką, stojakami na kropłówki i telewizorem. Okna zasłonięte były beżowymi roletami. K., wciąż siedząc na wózku, odwrócił głowę i zapytał:

– Jest pani pewna, że to ja mam tu leżeć, a nie jakiś vip?

– Widzę, że Klara już pana przeciwczyła – pielęgniarka zareagowała śmiechem. – Musi jej pan wybaczyć. Jest trochę grubo ciosana, ale to w sumie

poczciwa kobieta. Za trzy tygodnie odchodzi na emeryturę, więc nosi ją bardziej niż zwykle. Proszę, niech się pan położy do łóżka. Zaraz catering przyniesie panu kolację.

– Katering?

– No tak. Dyrektor zlikwidował kuchnię, bo okazało się, że catering będzie tańszy i jedzenie, po konsultacji z dietetykiem, zamawiamy na zewnątrz. Nic nadzwyczajnego, ale da się zjeść. Za parę minut dostanie pan kolację. Proszę sobie rozstawić ten stolik łóżkowy. Pilot do telewizora leży na szafce.

Rzeczywiście, po chwili weszła do pokoju młoda dziewczyna w fartuchu i ochraniaczach na buty i postawiła przed pacjentem jednorazowy kartonowy talerz, na którym leżały: dwie parówki ciepłe, trzy kromki chleba, mała kostka masła, trochę dżemu, twarogu i ser żółty. Obok talerza postawiła kubek i niewielki dzbanek z herbatą.

– Smacznego i życzę szybkiego powrotu do zdrowia – uśmiechnęła się, obróciła i wyszła z pokoju.

K. chwilę patrzył za dziewczyną, sięgnął po pilota i wcisnął czerwony przycisk. Na ekranie pojawił się znany wszystkim pacjentom minister zdrowia. Na pasku na dole przewijała się wiadomość z dopiskiem: „Pilne! Minister zdrowia odwołał stan zagrożenia pandemicznego”. Konferencja prasowa miała się już chyba ku końcowi, ale ponieważ zbliżały się wybory, polityk

postanowił uszczknąć nieco czasu antenowego, żeby zaprezentować się demosowi.

– ...jak już państwu mówiłem – z głośników sączył się beznamiętny jak zwykle głos ministra – chcemy wprowadzić tarczę pacjenta. Chcemy, aby pacjent, wchodząc do systemu opieki zdrowia, miał gwarantowaną kompleksową opiekę i leczenie. Teraz leczenie będzie realizowane jako zaplanowany i skoordynowany proces. Od zgłoszenia kłopotów ze zdrowiem u lekarza pierwszego kontaktu pacjent będzie przesuwany, niczym samochód na taśmie montażowej, a po drodze będą realizowane wszystkie badania i konieczne zabiegi. Każdy zapis w elektronicznej karcie pacjenta będzie widoczny w systemie. Pozwoli to skoordynować wszystkie etapy leczenia, od diagnostyki po skomplikowane operacje. Koniec z indywidualnym ustalaniem terminów wizyt do specjalisty i specjalistycznych badań. Wszystko załatwimy systemowo. Pora na ostateczne rozwiązanie... – kamera pokazała zbliżenie twarzy ministra.

– Gdzie ja już widziałem te oczy? – głośno zapytał się siebie K.?, „Może któryś z moich kolegów ze szkoły? Nie. A może z pracy? Nie, to nie to. Gdzie ja widziałem to spojrzenie?”, pytał się dalej w myślach. – Już wiem! Eichmann w Jerozolimie! – wykrzyknął i prawie potracił dzbanek z herbatą. – Tak, takie samo spojrzenie

beznamiętnego biurokraty, który po prostu realizuje zadanie do wykonania. Dość! Włączyć sobie jakiś film.

Przez godzinę K. oglądał jakiś amerykański film klasy C i kiedy za drugim już razem poderwał głowę, która bezwiednie mu opadała na klatkę piersiową, zdecydował się zgasić światło i położyć spać. Zasnął niemal natychmiast.

Niestety sen nie przyniósł oczekiwanego ukojenia po całym dniu niewesołych wrażeń. Śnił mu się minister zdrowia dyrygujący drużyną lekarzy, przed którymi, jak na taśmie montażowej, przesuwali się kolejni pacjenci.

– Temu uciąć rękę! – rozkazał polityk. – Temu przyszyć drugą głowę! Entliczek, pętliczek, czerwony stoliczek, na kogo wypadnie, tego otworzymy ładnie. Raz, dwa trzy, jajcy obetniemy ci! – wykrzyknął minister, pokazując palcem na Józefa K. – Mistrzu skalpela – zwrócił się do chirurga, który zamiast przepisowej maseczki i czepka z toczkami, miał założoną na twarzy maskę krwiożerczego klauna, a na skroniach wieniec laurowy – czyni swoją powinność!

– Niiieee! – wykrzyknął K. gdy chirurg złapał go za przyrodzenie i zamaszystym ruchem dłoni uzbrojonej w złoty skalpel wykonał mistrzowskie cięcie. – Niiieee!
– Zawsze niski głos K. nagle zamienił się w falset.

– Niiieee! – mężczyzna obudził się cały mokry, z prześcieradłem okręconym wokół szyi.

Józef K. siedział przez chwilę w ciemności na łóżku, ciężko oddychając.

– Sen mara, Bóg, wiara – wyszeptał, jakby się bał obudzić demona. – Uff, są! – dodał już głośniejszym głosem, łapiąc się za krocze. – Są na miejscu.

„Chirurg we śnie oznacza wewnętrzną potrzebę pozbycia się balastu”, po chwili przypomniał sobie brednie z sennika, który znalazł kilka dni wcześniej, buszując z nudów w internecie. K. mimowolnie napiął mięśnie pęcherza. „Faktycznie, chce mi się lać”, zdziwił się w myślach.

Mężczyzna wstał, zapalił światło w pokoju i wyjrzał na korytarz. Szpital pogrążony był w letargu nocnych dyżurów. Po powrocie z ubikacji K. nie zasnął już do rana. O siódmej zajrzała do niego miła pielęgniarka, informując, że za kilka minut na porannym obchodzie porozmawia z nim konsylium lekarzy i studentów. Faktycznie, pięć minut później do pokoju weszło trzech lekarzy i czworo studentów. Szpakowaty lekarz trzymający w dłoniach tabletki zwrócił się do Józefa:

– Pan K.?

– Tak, panie doktorze.

– Co my tu mamy? – lekarz spojrzał na ekran tabletu. – *Insufficiencia cordis*. Proszę, co może nam pani powiedzieć o objawach? – zwrócił się do rudej i pigo-watej studentki.

– Osłabienie, łatwe męczenie się nawet przy niewielkim wysiłku, duszność występująca przy wysiłku, w spoczynku lub w nocy, obrzęki, powiększenie obwodu brzucha i przybór masy ciała związane z zatrzymaniem płynów w organizmie – wyrecytował nakrapiany kujon.

– Zgadza się? – doktor spojrzał na pacjenta, unosząc brwi nieznacznie w górę.

– Bo ja wiem? Trochę się męczę, to fakt. No i spodnie ostatnio jakby zrobiły się za ciasne, ale to chyba od tego, że mało chodzę. I mam apetyt trochę taki... nie bardzo.

– Tu jest napisane, że pan zemdlął – stwierdził drugi lekarz, zaglądając w ekran tabletu.

– No... ten... chyba straciłem przytomność.

– Wyniki krwi ma pan nieciekawe. Anemia – stwierdził sucho szpakowaty. – Z echa wynika, że EF pacjent ma na granicy, to znaczy 59 procent. Wpisuję pana na rezonans mięśnia sercowego, koronarografię i ocenę stężeń peptydów natriuretycznych we krwi. Przy okazji zobaczymy, jak działa nowy system obsługi pacjenta, zaprojektowany przez speców pana ministra. To by było na tyle. Następny pacjent – lekarz przesunął palcem po tablecie – utrata przytomności z atakiem padaczkowym.

Gdy zespół wychodził z pokoju, K. dostrzegł na tablicie naklejkę „Program pilotażowy Ministerstwa Zdrowia”.

Po wyjściu grupy lekarzy przyszła Klara i poinformowała pacjenta:

– Śniadania nie będzie, bo za godzinę jedzie na koronografię. Tu ma leki i wodę do popicia – i wyszła.

Józef K. włączył pilotem telewizor. W programie śniadaniowym prowadząca para dziennikarzy omawiała doniesienia prasowe. Gdy popijał wodą tabletki, właśnie pokazano slajd z danymi z gazety, z których wynikało, że najmniejszy odsetek zgonów na oddziałach intensywnej opieki medycznej odnotowuje się w Szwecji – 6,7 procent. W Polsce ten odsetek wyniósł 42 procent. Gdy K. zobaczył dane dotyczące Polski zakrztusił się z wrażenia i przez dłuższy czas kaszląc, usiłował przywrócić swój organizm do stanu wydolności oddechowej. Uporawszy się z kaszlem wystękał do siebie:

– Ja pierdołę, nawet w Mongolii prawdopodobieństwo przeżycia na OIOM jest dwa razy większe. Boże, co będzie, jak ta reforma im wyjdzie i większą przerób umarłaków?

„Wtedy szpitale, zapewne w celu obniżenia kosztów, połączą z zakładami pogrzebowymi”, podpowiedział mu jakiś wewnętrzny głos w głowie.

W takim grobowym nastroju K. doczekał do pierwszych badań. Przez kolejne dwa dni Józef K.,

zgodnie z nowymi zasadami testowanymi w szpitalu miejskim, nazwanymi procesem Kompleksowej Obsługi Medycznej Pacjenta, był „przesuwany” z sali do sali na kolejne badania, których przeprowadzenie zapisane było w elektronicznej karcie chorego. Dwa razy musiał wracać do pokoju, bo okazało się, że do badania system komputerowy zarezerwował na tę samą godzinę dwóch pacjentów. W tej sytuacji lekarze prowadzący przyjęli najpierw tych pacjentów, którzy zgłosili się na diagnostykę, przyjeżdżając z odległych dzielnic miasta.

Wieczorem znowu zajrzała do K. miła pielęgniarka.

– No to jeszcze tylko jutro ostatnie badanie, konsylium i może wypuścimy pana do domu.

– Właściwie to nic mi nie jest. Czuję się dobrze.

– Panie Józefie. To mogą stwierdzić tylko lekarze. Proszę zaufać nauce – zakończyła z emfazą, czym wzbudziła lekki niepokój pacjenta.

Rano do sali, w której spał K., weszła siostra Klara.

– Proszę wstać – potrząsnęła ramieniem śpiącego pacjenta – za godzinę ma pan badanie, ale najpierw pojedziemy umyć głowę.

– Moją? – K. postanowił się upewnić, że się nie przesłyszał.

Klara tylko skrzywiła się i wycodziła:

– Na badanie należy stawić się czystym i na trzeźwo.

K. zmarszczył czoło, jakby usiłował sobie przypomnieć, gdzie słyszał albo przeczytał podobną sentencję. Wstał z łóżka i usiadł potulnie na wózku.

– Jak się umyje, to zje lekkie śniadanko i pojedziemy na badanie – pielęgniarka znowu użyła trybu trzeciej osoby, co mogło świadczyć, że właśnie straciła dobry humor.

Pod prysznicem K. zastanawiał się, dlaczego każą mu się wykapać jak przed operacją. Mógłby się zapytać o to tajemnicze badanie siostrę, ale zrezygnował, nie chcąc słyszeć jej zrzędlivego tonu. Co prawda ładna i miła pielęgniarka z wieczornego dyżuru zapewniała go, że Klara ma dobre serce i dba o pacjentów, ale wolął nie testować na sobie jej empatii. A może, żeby zrozumieć subtelności zachowania siostry Klary, trzeba było po prostu być młodym i zdrowym. Wówczas tolerancja dla odmiennych ludzkich zachowań jest większa, a wiele kłopotów wydaje się nieistotnych. Z wiekiem, gdy życiowe doświadczenia pozostawiają po sobie niezabliźnione rany, towarzystwo innych ludzi coraz częściej staje się uciążliwe, maleje też skłonność akceptowania oryginałów, jak nazywa się jeszcze czasami ludzi niepospolitych, niekoniecznie w pozytywnym znaczeniu tego słowa.

Wykapany, z włosami pachnącymi szamponem, pacjent oczekiwał na siostrę, przerzucając przyciskiem pilota kanały stacji telewizyjnych. Gadające głowy

wciąż rozprawiały o nowym, właśnie wdrażanym systemie opieki zdrowotnej. K. chwilowo zatrzymał się na porannych wiadomościach jednej ze stacji, w czasie których dziennikarka przepytowała w kwestiach ministerialnego eksperymentu znanego i popularnego aktora, choć nieco już zużytego w serialach klasy B. Aktor dawał właśnie popis elokwencji i erudycji ze szczególnym uwzględnieniem wiedzy medycznej i nauk o zarządzaniu. Jego paraintektualne enuncjacje sytuowały go gdzieś pomiędzy praczką z magła a internetowym influencerem. Modelowy przykład człowieka, który tak długo, jak długo powtarza wyuczone kwestie, które ma zapisane w scenariuszu lub na stronach sztuki scenicznej i robi wyreżyserowane miny, jest niegroźny dla otoczenia. Gdy ponosi go wena twórcza i publicznie prezentuje swoje własne przemyślenia na dowolny temat, staje się przyczyną szoku, jakiego doznaje odbiorca wskutek dysonansu poznawczego. Misternie budowany przez lata wizerunek wolterowskiego mędrka, pouczającego innych ze sceny, obraca się w gruzy, gdy artysta zamiast dalej recytować dzieła, których walory oparły się próbie czasu, podejmuje intelektualne wyzwania przerastające jego wrodzone możliwości i kierunkowe wykształcenie. Po drugiej stronie mikrofonu sekundował aktorowi osobnik tego samego pokroju, tylko z innym dyplomem. Takie duety od kilku dekad stanowią koło zamachowe spektakli medialnych. Ćwierć-

inteligencji. PRL, a potem wolna Polska porozdawała im dyplomy, wierząc, zapewne zgodnie z dialektyką Marksa, że stopniowo wzrost ilości (w tym przypadku liczby tumanów) zapoczątkuje proces zmian jakościowych. Jak zauważył Władimir Bukowski: „Oni nie mogą po prostu uczyć. Nie, oni muszą zbawiać świat”. Więc zbawiają. W PRL-u, gdzieś na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, jak to zwykle u neofitów bywa, zapalili się do niesienia kaganka oświaty i kultury pod strzechy, ale po paru bliskich spotkaniach trzeciego stopnia z przewodnią siłą narodu (zwłaszcza w okolicach Nowej Huty), kiedy już wolno było powiedzieć to i owo, wyrzycali swój stosunek do roboli w strofach Ważyka:²

„...Wielka migracja, skudlona ambicja,
Na szyi sznurek, krzyżyk z Częstochowy,
Trzy piętra wyzwisk, jasieczek puchowy,
Maciora wódki i ambit na dziewczki,
Dusza nieufna, spod miedzy wyrwana,
Wpół rozbudzona i wpół obłąkana,
Milcząca w słowach, śpiewająca śpiewki,
Wypchnięta nagle z mroków średniowiecza,
Masa wędrowną, Polska nieczłowiecza
Wyjąca z nudy w grudniowe wieczory...”

² A. Ważyk: Poemat dla dorosłych.

W kolejnych latach niechęć jednych do drugich tylko się pogłębiała, pomimo zachowywania pozorów wynikających przede wszystkim z pryncypiów ustrojowych. W 1980 roku na chwilę odtąńczono Mazura z Mickiewiczowskim „kochajmy się”, ale po 1989 roku nie tylko wszystko wróciło w stare koleiny, ale też inteligencja dała robotom popalić, znów pouczając i grożąc palcem. Na nowym porządku utuczyl się „gęgacze”. Jedni pod sztandarami Unii Europejskiej, inni pod białą-czerwoną flagą z krzyżem na dokładkę. A demos, tak jak śpiewak: „ciągle był sam”.

– Pora umierać – westchnął do siebie Józef. K., słuchając obu dyskutantów. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczyła siostra Klara, popychając przed sobą wózek.

Po kilku minutach stanęli przed gabinetem EEG. Pacjent zdziwił się, ale nie zdążył o nic zapytać, bo pielęgniarka zniknęła za drzwiami. Po chwili wyszła i oznajmiła beznamiętnie:

– Musi poczekać chwilę.

– EEG? Po co mi to badanie?

– Nie wiem, lekarz zaordynował. Może chcą stwierdzić, czy nie nastąpiła u pana śmierć pnia mózgu – Klara ponownie wyszczerzyła zęby, dając do zrozumienia, że udał jej się dowcip. – Gdy zbadają panu fale mózgowe, może się okaże, że ma pan zdolności telepatyczne – mrugnęła okiem. – Albo zrobią panu QEEG,

żeby zbadać, czy pana stany lękowe nie są związane z moją obecnością.

Piguła najwyraźniej dobrze się bawiła.

Pacjent nie podjął wyzwania i spojrzał tylko smutno na pielęgniarkę. Wieczorem odwiedziła go zmienniczka Klary.

– No i jak tam, panie Józefie, wychodzimy? – pielęgniarka była przekonana, że konsylium już zadecydowało.

– Tak, nogami do przodu – odpowiedział K. zrezygnowany.

– Ejże – kobieta uśmiechnęła się znacząco – po co te nerwy, mówiłam, żeby pan zaufał nauce.

– Zaufałem, tylko nie rozumiem, po co mi dzisiaj robili EEG, skoro podejrzewali zawał.

– EEG? Niemożliwe! Ktoś coś musiał pokręcić. Proszę dać mi chwilę, pójde sprawdzic – pielęgniarka poderwała się z krzesła i szybkim krokiem skierowała się do drzwi.

Wróciła po pięciu minutach.

– Sprawdziłam, no rzeczywiście. Zrobili panu badanie encefalografem, ale nie rozumiem po co? Przy pana nazwisku jest napisane też, że jutro będzie miał pan badanie TK głowy.

– Tomokomputer? A po jaką cholere? – bezradność K. zaczęła się zmieniać w złość.

– Niech się pan nie denerwuje, panie Józefie. Jutro rano zadzwonię do jednego z lekarzy mających dyżur w trakcie porannego obchodu i poproszę go o wyjaśnienie całej tej sytuacji.

Podczas porannego obchodu dowodzonego przez samego ordynatora Krzakoskiego, do pokoju K. wmaszerowało dwóch innych lekarzy i gęsi z uniwersytetu medycznego. Zanim ordynator zdążył się odezwać, w kieszeni jednego z towarzyszących mu lekarzy zadźwięczał telefon.

– Kolego Malecki! Prosiłem, żeby w trakcie obchodu wyciszać telefony – zirytowany ordynator spojrzał na swojego młodszego kolegę.

– Przepraszam, panie profesorze, to siostra Wawrecka. Myślę, że to sprawa służbowa – odpowiedział lekarz.

– Albo i nie. Kto wie...– ordynator zawiesił głos, wymownie krzywiąc usta.

Drugi lekarz wybuchnął śmiechem, studentki milczały – kujony ze strachu przed profesorem, a pozostałe, bo uznały, że nie interesują ich prywatne sprawy personelu szpitala. Malecki ze smartfonem przy uchu wyszedł z pokoju.

– No i co my tu mamy – Krzakoski spojrzał na ekran tabletu. – G40. Nasz pacjent ma EEG w normie i dzisiaj ma TK. Cóż, musimy znaleźć przyczynę, która pana tu sprowadziła. Ale proszę się nie martwić. Nie

wypuścimy pana, dopóki nie dowiemy się, co panu dolega i jak się tego pozbyć. Nowe zasady opieki medycznej...

– Panie profesorze! – drzwi na korytarz otworzyły się nagle i stanął w nich wyraźnie zdenerwowany Malecki. – Zaszła chyba pomyłka!

– Kolego doktorze, czy nie uczono pana elementarnych zasad kultury? Przelożonemu się nie przerywa. To po pierwsze. A po drugie, o czym pan do diabła mówi? Jaka pomyłka?

– Przepraszam, panie profesorze, za to wtargnięcie – Malecki postanowił oddać co cesarskie cesarzowi – ale siostra Wawrecka twierdzi, że naszego pacjenta przywieziono z podejrzeniem zawału, a tymczasem diagnozujemy go na atak padaczkowy.

– Panie Malecki – ordynator wycedził te słowa przez zęby. – Proszę sobie zapamiętać: u mnie na oddziale nie ma pomyłek. Ten oddział był, jest i będzie prowadzony wzorowo i dlatego został wytypowany przez ministerstwo do pilotażu nowego systemu opieki medycznej. Chce pan zasugerować, że moi współpracownicy nie odróżniają zawału od padaczki? Moim zdaniem za dużo czasu spędza pan z siostrą... jak ona się nazywa... Wawrecka? Zdaje się, że dobrze wam zrobi male przeniesienie.

– Ale panie profesorze...

– Żadnego ale, panie kolego. Sieje pan zamęt w głowie naszego pacjenta. Proszę, jak zbladł! Przez pana i pańskie głupie insynuacje.

Faktycznie biały jak śnieg K. siedział, kurczowo zaciskając i otwierając pięści, patrzył przerażony raz na Maleckiego, raz na Krzakoskiego.

– Proszę podać choremu środki uspokajające – profesor zwrócił się do drugiego lekarza. – Przyda mu się przed badaniem TK, gdyby okazało się, że ma klaustrofobię. A pan, panie kolego Malecki, niech sobie zapamięta. Nowy system opieki wspiera sztuczna inteligencja. Wie pan dobrze, ile ministerstwo wydało na nią pieniędzy. Za takie pieniądze dostaje się tylko produkty wysokiej jakości. Nam powierzono misję testowania nowego systemu i ja zamierzam się z tej misji wywiązać wzorowo! Zrozumiał pan?

Stłamszony Malecki tylko skinął głową. Postanowił ustąpić, gdy przypomniał sobie ostrzeżenia starszego kolegi. „Uważaj, stary ma fioła na punkcie nowego systemu. Od trzech lat jeździ co tydzień do ministerstwa, dostał chyba ze dwa granty na badania uniwersyteckie wykorzystujące dane z systemu. Każdego, kto spróbuje sypanąć piasku w tryby maszyny, zetrze na pył”.

– Z czasem pewnie uda się nam zastąpić pracę tych, którzy zamiast zaufać nauce, wolą się opierać na

opiniach znajomych pielęgniarek. – Tą grubiańską uwagą ordynator postanowił na koniec dobić podwładnego.

Gdy pochód ekspertów i adeptów medycyny zniknął za drzwiami, K. tępo wpatrywał się w wygaszony ekran telewizora. Ocknął się po dłuższej chwili. Już wiedział, co chce zrobić. Nalozyl szlafrok i ruszył korytarzem w stronę gabinetu dyrektora szpitala.

– Chcę się widzieć z dyrektorem – oznajmił sekretarce wypełniający jakiś formularz.

– Był pan umówiony? – sekretarka nie odrywała wzroku od kartki.

– Proszę pani. Jestem pacjentem, na którym testujecie, jak na szczyrze, nowy system leczenia i chcę się natychmiast widzieć z dyrektorem szpitala!

– A, pan od pilotażu, proszę zaczekać – kobieta podniosła słuchawkę: – Panie dyrektorze, pacjent zero do pana.

– Proszę, niech pan wejdzie – dodała po chwili.

K. wszedł do obszernego gabinetu wyposażonego w nowoczesne meble, monitory, na których widać było różne sale szpitalne, w tym operacyjne. Za biurkiem siedział łysy jak kolano mężczyzna w eleganckim garniturze.

– Dzień dobry. Czym mogę panu służyć? – zagaił dyrektor.

– Przejdę od razu do rzeczy – stanowczym głosem rozpoczął K. – Chcę wypisać się na własne żądanie z pańskiego szpitala.

– Co się stało, panie Józefie? – dopytywał lysi. – Nie jest pan zadowolony z procesu leczenia? Ktoś pana nieuprzejmie potraktował? Chciałby pan złożyć skargę?

– Nie, to nie to. Chodzi po prostu o to, że... – K. chwilę się zastanowił i doszedł do wniosku, że nie ma sensu tłumaczyć facetowi korowodu pomyłek i błędów, jakich doświadczył w kierowanej przez niego placówce, więc zakończył krótko – ...że chcę po prostu wypisać się na żądanie. Tylko tyle.

– Proszę pana, jest to możliwe, aczkolwiek pan został objęty nowoczesnym, eksperymentalnym procesem opieki medycznej i w związku z tym w stosunku do pana muszę stosować się do nowych wytycznych.

– Co to znaczy? – zaniepokoił się pacjent.

Dyrektor sięgnął po segregator z napisem „Program Pilotażowy Ministerstwa Zdrowia”. Chwilę przekładał kartki i zwrócił się do gościa:

– Tu jest paragraf dwadzieścia d..., zresztą mniejsza o numer. Ważna jest treść. Cytuję: „Pacjent może się wypisać przed zakończeniem procesu leczenia pod warunkiem, że jest poczytalny.”

– Ależ ja jestem poczytalny. Właśnie dlatego z panem rozmawiam – obruszył się K.

– Nie jest pan.
– Jak to?
– Bo tylko osobnik niepczytalny może chcieć zrezygnować z leczenia, które ratuje jego życie.

– A skąd ma pan dowód na to, że leczenie ratuje moje życie, skoro wciąż nie możecie skończyć diagnozy?

– Właśnie dlatego nie możemy zacząć leczenia, bo nie skończyliśmy diagnozy – dyrektor bezradnie rozłożył ręce.

– Więc co ze mną będzie? – K. czuł, że przegrał i musi poddać się woli sztucznej inteligencji.

– Proszę zaufać nauce.

Józef K. nie chciał zaufać nauce, chciał po prostu znaleźć się w domu. Nie wiedział też, jak banalna była przyczyna niekończących się badań. Sztuczna inteligencja, którą zaprzęgnięto do pomocy lekarzom, miała na podstawie każdego etapu badań i ich wyników dokonywać selekcji możliwych przyczyn choroby i sugerować kolejne ewentualne badania, których celem było zmniejszenie niepewności i ryzyka przy wdrażaniu procesu leczenia lub wykonaniu zabiegu. Niestety, błąd programisty spowodował, że K. przypisywano co rusz objawy innych pacjentów. Sztuczna inteligencja uczyła się, ale zapętlone profile diagnostyczne kazały jej przygotowywać K. do kolejnych badań, logicznie zupełnie ze sobą nie powiązanych. Gdy skierowano go na

angiografię, lekarze ze strachu przed przełożonym udawali, że nie widzą niczego dziwnego w tym, że zaledwie dwa dni wcześniej pacjent miał przeprowadzone badanie rezonansem. Trzy dni później program wysłał pacjenta na kolonoskopię i gastrokopię. W międzyczasie przeniesiono doktora Maleckiego do innego szpitala, a siostrę Wawrecką na inny oddział. Klara wzięła przyługującą jej przed emeryturą urlop.

Józef. K. pozostał sam na sam z procesem opieki medycznej sterowanym przez sztuczną inteligencję. Był przemieszczany między salami jak ładunek. O nic się go nie pytano, a proces logistyki medycznej tworzony był, a jakże, w chmurze zawierającej dane o pacjentach, procedury badań i leczenia oraz oprogramowanie sterujące.

Wieczorami, przed zaśnięciem, K. próbował to wszystko zrozumieć. Jak to w ogóle jest możliwe, że ci ludzie, w tym podpisujący się stopniami i tytułami naukowymi, mogli mu zafundować medyczny konwejer.

„Przecież lekarze – powtarzał sobie w myślach – powinni wykazywać się nie tylko głęboką i aktualizowaną stale wiedzą medyczną, ale przede wszystkim empatią wobec ludzi chorych, bez względu na to, czy choroba jest wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, czy konsekwentnym zaniedbywaniem i szarganiem własnego zdrowia przez pacjenta. Leczenie ludzi to coś więcej niż zawód, to powołanie. Gdy księży, których powołaniem jest leczyć ludzką duszę, nadużywają

zaufania, to media rozjeżdżają ich, przynajmniej w ostatnich latach, na miazgę. Lekarzowi, który spartoli operację, pomyli się z niechlujstwa lub nieuctwa w diagnozie, zleci zrobienie niewłaściwych badań lub przepisze leki, których działanie jest nieskuteczne, ale za to bardzo opłacalne dla ich producenta i wypisującego receptę, na dobrą sprawę można skoczyć. Izby lekarskie, jak wszystkie tego typu przybytki jednomyślności zawodowej, stoją na straży etyki tylko wtedy, gdy trafi się lekarz, który woli śpiewać solo zamiast w chórze. W innych zawodach zaufania publicznego: u prawników i dziennikarzy nie jest lepiej. Pandemia w Polsce pokazała czym narzędziem są te izby tortur zawodowych”.

Powoli, wycieńczony kolejnymi badaniami, Józef K. gasł w oczach. Gdy program zaordynował mu końską dawkę zolpidemu na uspokojenie, leżał w łóżku tępo wpatrzony w telewizor. W wiadomościach przedstawiono skrót konferencji ministra zdrowia.

Zanim K. opuścił powieki, usłyszał jeszcze:

– ...nasz nowoczesny proces opieki medycznej odniósł już pierwszy sukces. Pacjentowi w szpitalu miejskim zrobiono w ciągu miesiąca wszystkie niezbędne badania potrzebne do rozpoczęcia procesu leczenia. Sam koszt diagnostyki wyniósł ponad trzysta tysięcy złotych, ale nie o koszty przecież chodzi. Najważniejszy jest pacjent.

Voucher

– czyli jak hartował się kapitalizm

Gdy w Polsce dokonywała się zmiana ustroju, kończyłem studia. Miałem więc na starcie sprzyjające warunki, żeby stać się beneficjentem nowej rzeczywistości. Polacy z ufnością patrzyli w przyszłość, bo mieli stać się wolni, a zaraz potem bogaci. Wolni nie stali się w pełnym tego słowa znaczeniu, bo po komunistach władzę objęła wolterowska merytokracja, która uznała, że co za dużo, to niezdrowo, i narodowi trzeba wskazać, która wolność jest słuszną, a która nie. Zapal Polaków do stania się krezusami Europy studził Jacek Kuron, który po kilku miesiącach pracy na stanowisku ministra polityki społecznej stwierdził, cytuję z pamięci: „Europę dogonimy za dwadzieścia, może za dwadzieścia pięć lat”.

Minęło trzydzieści lat, Polacy nie zarabiają już 50 dolarów miesięcznie, ale średnia płaca w Polsce jest wciąż trzykrotnie niższa niż w Niemczech.

Komuniści zapewnili swoim ludziom wiano na start. W posagu wnieśli publiczny majątek, który szybko poddano prywatyzacji. Weszli w ich posiadanie prawem kaduka. No może bardziej prawem cwaniaka. Kapitalizm wzorowany na wolnej amerykance, nie wiedzieć czemu nazywanej liberalizmem gospodarczym, przyciągnął też różnej maści lachmaniarzy. Taki biznesmen z pierwszego sortu zmian jest jednym z bohaterów tego opowiadania.

Jerzy Zawadzki pracował w państwowym przedsiębiorstwie przewozowym. Gdy zawitało nowe, branżę państwowych przedsiębiorstw transportowych poddano dość szybko restrukturyzacji, rozdzielając przewozy pasażerskie od przewozów ładunków. Przewozy ładunków szybko sprywatyzowano, a przewozy pasażerskie doświadczyły załamania, bo Polacy masowo nadrabiali stracony czas, motoryzując bez opamiętania swoje gospodarstwa domowe. Z pekaesami, państwowymi wciąż jeszcze w wielu województwach, zaczęli konkurować prywatni, którzy przez kilka lat zbierali śmietankę na najbardziej obciążonych popytem trasach.

Zawadzki, gdy wybuchła w 1980 roku „Solidarność”, szybko zapisał się do komisji zakładowej i dostał legitymację członkowską numer 4. Należał do tych pracowników, którzy mimo idiotyzmów poprzedniego ustroju, swoją pracę traktowali poważnie. Był trochę

jak kobieta pracująca z serialu „Czterdziestolatek” – nie bał się żadnej roboty. Pracował fizycznie, sam naprawiał swoją turkusową syrenkę, wspólnie z bratem wybudował dachę na Kaszubach, miał dobry zmysł organizacyjny. Ta ostatnia umiejętność skłoniła go do przyjęcia posady kierownika ośrodka wczasowego w jednej z nadmorskich miejscowości. Solidarność oddelegowała go, jak to poetycko wówczas określano, na odcinek pracy socjalnej.

W peerelowskiej rzeczywistości zakłady pracy to nie były tylko miejsca, w których pracownicy najemni świadczyli płatną pracę. To były kombinaty, w których miała się wykuwać nowa rzeczywistość. Duże zakłady, liczące niekiedy po kilka tysięcy osób, miały własną organizację partyjną, a także własne: służbę zdrowia, szkoły, przedszkola i ośrodki wczasowe. Do pełnej autarkii brakowało jeszcze tylko zakładowych sklepów, zakładów usługowych, kin, teatrów i burdeli. No z tymi ostatnimi mógł być pewien problem, bo komuniści, ci z peerelu, byli oficjalnie bardzo pruderyjni.

Zakład pracy Zawadzkiego w miarę sił i środków starał się sprostać oczekiwaniom pracowników na odcinku wypoczynku i rekreacji (przepraszam, nie mogłem się powstrzymać). Organizował więc, pod koniec lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, we kierowanym przez siebie ośrodku wczasowym turnusy wczasowe pracownikom firmy i ich rodzinom, a dzieciom:

kolonie, obozy wędrowne, choinki i zabawy karnawałowe. W czasach powszechnego niedoboru towarów, gdy wszystko zasilane było z centralnego rozdzielnika, państwowe formy wypoczynku miały pewną przewagę nad prywatnymi, które Polacy organizowali sobie we własnym zakresie.

Samodzielne organizowanie urlopu przy pustych półkach w sklepach wymagało wystawiania godzinami w kolejkowych sklepach, żeby dietę wzbogacić np. o konserwy mięsne, rybne i nieśmiertelny paprykarz szczeciński. Organizatorzy wypoczynku w ramach państwowych zakładów pracy mogli co prawda liczyć na przydział wiktualów, środków czystości, pościeli, ale w typowy dla gospodarki planowo-rozdzielczej sposób, czyli niedostosowany do potrzeb. Ilość przydzielanego przez rozdzielnik towaru nigdy nie wystarczała na obsłużenie wszystkich turnusów, a ich jakość była tak nikczemnie podła, że gdyby chcieć polegać tylko na racjach przydziałowych, to ośrodki wczasowe świeciłyby pustkami. Na to sobie żaden peerelowski zakład pracy nie mógł pozwolić ani tym bardziej żaden podległy im ośrodek wczasowy. Nie dlatego, że nie wykazałby zysku. Co to, to nie. Zysk był kategorią zastrzeżoną tylko dla prywaciarzy, a państwowe firmy miały po prostu realizować plan. Puste ośrodki wczasowe oznaczałyby masy wkurwionych pracowników, których wydajność w pracy byłaby niska, a co gorsza, mogliby oni znowu

zacząć szemrać przeciw ustrojowi i partii. Osobnik prowadzący ośrodek wczasowy musiał więc wspólnie z działem zaopatrzenia kombinować.

W praktyce te kombinacje sprowadzały się do wyrabiania znajomości i tworzenia drugiego obiegu towarów i usług między zakładami, a ściślej rzecz biorąc, między poszczególnymi ludźmi. Gdy na przykład w państwowej wytwórni betonu brakowało mięsa w zakładowej stołówce, to jej zaopatrzeniowiec dzwonił do państwowych zakładów mięsnych i tam dowiadywał się, że owszem, rzeźnicy mieliby na zbyciu kilkaset kilo mięsa, ale sami są w potrzebie, bo rozbudowują zakład, a nie dostali państwowego przydziału na beton do zalania fundamentów. W ten sposób drugi, quasi-rynkowy, barterowy obieg produktów uzupełniał obieg oficjalny, czyniąc życie w PRL ledwie znośnym. Czasami łańcuszek zainteresowanych się wydłużał, bo okazywało się, że zakłady mięsne nie potrzebują betonu, ale brakuje im nowych ciężarówek, więc betoniarnia słała umyślnego do państwowej fabryki samochodów ciężarowych w Jelczu z pytaniem, czy nie mają na zbyciu dwóch samochodów chłodni z odrzutu eksportowego, a w zamian betoniarze mogliby im wybetonować drogę do nowej hali montażowej. Jeżeli drogi czytelniku nic z tego akapitu nie zrozumiałeś, to oznacza, że w PRL nie przeżyłbyś trzech dni.

Zawadzki swój chrzest bojowy przeszedł, załatwiając karoserię nowego poloneza z państwowej Fabryki Samochodów Osobowych do praktycznie nowego zawieszenia i silnika, które kupił okazjnie od prywatnych osób. Opis łańcucha ludzi dobrej woli, który wówczas zbudował i wzajemnych powiązań między nimi, zająłby kolejne pięć stron, poprzestańmy więc tylko na podsumowaniu.

Za pięć kilogramów wędzonego węgorka załatwionego od zblatowanych rybaków i dwa litry peweksowskiej Żytniej Extra i oczywiście po pokryciu kosztów zakupu karoserii po oficjalnych cenach państwowych świeżo upieczony szef ośrodka wczasowego stał się właścicielem karmazynowej karoserii poloneza w wersji eksportowej. Niewiele brakowało, a mógłby się w Polmozbycie (państwowy dystrybutor samochodów wyprodukowanych w FSO, odpowiednik dzisiejszego dealera) ze względu na bałagan w ich papierach wykpić z zapłatą za fakturę, ale wolał nie ryzykować. W końcu na wszystko miał papiery z oficjalnymi pieczętkami i niepodrobionymi podpisami. To mu wystarczało. I tak wszyscy znajomi dostawali wytrzeszczu, gdy im opowiadał, w jaki sposób obszedł procedury centralnego rozdzielnika. Wiedział, że nowa praca nie będzie dla niego wyzwaniem nie do pokonania.

Przez kilka lat jako szef ośrodka wczasowego, niczym Milo Minderbinder,³ budował nieformalną sieć handlowo-usługowych powiązań, dzięki czemu wczasowicze miło wspominali wypoczynek w ośrodku, a kierownik mógł pisać prawdę w sprawozdaniach z realizacji planów wypoczynkowych osobo-dni. I gdy wydawało się, że w ten sposób dojedzie spokojnie do emerytury, komunizm w Polsce zawałił się pod ciężarem własnej głupoty. W ciągu roku przyszło nowe. Firmy państwowe zostały poddane restrukturyzacji. Na pierwszy ogień poszły przystawki zakładowe, w tym ośrodki wczasowe.

Zawadzki dostał zadanie uporządkowania spraw formalnych zakładowego ośrodka, aby przygotować go do przekształcenia w odrębny podmiot gospodarczy, a potem do prywatyzacji. Pewnego marcowego poranka zawitał więc do nowo utworzonego ośrodka gminnego, przekształconego z Gminnej Rady Narodowej.

– Dzień dobry, pani Zosiu – Zawadzki przywitał się z dobrze znaną sobie urzędniczką. – Tak jak mówiłem, chciałbym rzucić okiem w dokumentację naszego ośrodka. Interesuje mnie odpis dzierżawy wieczystej pomiędzy gminą a naszym przedsiębiorstwem.

– Panie Jurku, nie mam nic dla pana. Szukałam trzy dni w aktach, ale nie mam z waszą firmą żadnej umowy

³ Jeden z bohaterów powieści J. Hellera, *Paragraf 22*.

użytkowania wieczystego. Ten teren pod waszym ośrodkiem, zgodnie z naszymi dokumentami, wciąż jest w użytkowaniu wieczystym kopalni „Francik” ze Śląska.

– Kopalni?

– Tak mam w aktach. Ale my tu teraz, wie pan, mamy urwanie głowy, bo tworzymy samorząd gminny i papiery są przenoszone z kąta w kąt. Archiwum też. Jak coś znajdę, to zadzwonię do pana.

– Psiakrew, no to jestem w kropce.

Zawadzki wrócił do firmy i jeszcze raz poszedł do siedziby związków zawodowych. Związki branżowe i Solidarność w obliczu szybko postępujących zmian zawarły sojusz i nawet przeniosły się do jednego pomieszczenia. Dzięki temu ich archiwa znalazły się w jednej szafie.

– Panowie – kierownik ośrodka wczasowego zwrócił się do szefów związków – muszę znaleźć jakieś dokumenty dotyczące prawa własności naszej firmy do ośrodka wczasowego w K. U mnie w dokumentacji nic nie ma, poza fakturami za wybudowanie domków, stolówki i innych przybytków w ośrodku oraz dokumentów związanych ich eksploatacją, remontami, listami płac i takimi tam. Możecie mnie oświecić, kto i kiedy uzyskał prawo do wybudowania ośrodka w K.?

– Panie Jurku – odezwał się szef związków branżowych – sprawy ośrodka prowadził mój poprzednik,

stary Chwalibóg, ale on zszedł pół roku temu. Niech pan przejrzy dokumenty w tej środkowej szafie. Może tam pan coś znajdzie?

Henryk Chwalibóg był szefem CRZZ⁴ od początku lat 70. ubiegłego wieku. Był znanym związkowcem, który swoją pozycję na krajowych spędach tej organizacji zawdzięczał wielu znajomościom, a dzięki półformalnym kontaktom załatwiał różne sprawy na boku, z korzyścią dla siebie, a przy okazji także często z korzyścią dla zakładu i szeregowych pracowników. Gdy powstała Solidarność, usunął się w cień, a potem przeszedł szybko na emeryturę.

Zawadzki, mając wgląd w najstarsze dokumenty wystawiane przez swój zakład pracy i związane z działalnością ośrodka w K., postanowił przejrzeć dokumenty związkowe z początku lat siedemdziesiątych. Szukał już trzy godziny, gdy natknął się na segregator z napisem „Ośrodek w K.”. Serce poszukiwacza prawdy zaczęło szybciej pompować krew do mózgu, powodując zrozumiałe podniecenie.

Wyciągnął pierwszą teczkę i zaczął przeglądać popinane w nią dokumenty. „Gówno”, pomyślał, „to kopie tego, co mam w ośrodku”.

⁴ Centralna Rada Związków Zawodowych – związki zawodowe dopuszczone przez władze komunistyczne do reprezentowania interesów pracowników w państwowych zakładach pracy. W praktyce była to odnoga PZPR i dyrekcji przedsiębiorstw, reprezentująca najczęściej stanowisko władz.

Zabrał się za następną teczkę, ale w niej i w kolejnych pięciu nie znalazł nic, co wyjaśniałoby prawa zakładu do dysponowania gruntem w K. Sięgnął po kolejną tekturową teczkę. W środku był tylko jeden dokument. Kartka w kratkę z dużego zeszytu formatu A4 z odręcznymi zapisami i pieczętkami związków zawodowych. Zawadzki przeczytał treść. Po chwili spojrzał na godło państwowe, białego orla już ze złotą koroną. Jeszcze raz przeczytał treść na kartce, chwilę pomyślał, przypominając sobie, czego dowiedział się w gminie, i pokiwał z niedowierzaniem głową.

„Mój Boże”, powiedział do siebie w myślach, „jeżeli to państwo funkcjonowało tak, jak ten zakład, to fakt, że jeszcze żyjemy, jest tylko kaprysem losu albo dowodem na to, że Twoja cierpliwość, Panie, nie zna granic”.

Okazało się, że w 1974 roku główny związkowiec kopalni „Francik” i Chwalibóg spisali porozumienie o przekazaniu terenu w K., który od gminy dzierżawił zakład pracy ze Śląska, firmie Chwaliboga, pod budowę ośrodka wczasowego. Kartka, na której spisano porozumienie była poplamiona, co mogło wskazywać na to, że powstała w rezultacie zbratania się obu związkowców podczas wieczornego ochlaju. Reszty, mając tylko strzępy informacji i znając realia ustroju, który właśnie odszedł do muzeum bezdennej ludzkiej głupoty, Zawadzki tylko się domyślał: gdy już przedstawiciele załóg

obu zakładów pracy opili co trzeba, zapewne od słowa do słowa ustalali, co przyniesie przyszłość, zupełnie jak w wierszyku A. Waligórskiego:⁵

Siedzi tatko tuż przy stole, rytmicznie się kiwa
Myśli, skąd ja się tu wzięłem, jak ja się nazywam
Co ja robię, gdzie ja mieszkam, co to jest u licha
A tymczasem mu koleżka podsuwa kielicha
„Wypij Heniu, to dla ciebie, tyś dobry przyjaciel”
Tatko, choć mu szumi we łbie, wlewa w siebie zacier.

A potem przeszli do czynów: Heniek, ja mam działkę na zbyciu, bo nie mamy funduszy, żeby tam cokolwiek postawić, ty masz potrzebę wydzierżawienia terenu nad morzem pod budowę ośrodka, więc Heniuś: co moje, to twoje. W swojej pijackiej dobroci obaj pewnie wyszli z założenia, które pokutowało w głowach wielu ówczesnych działaczy, że jak coś jest państwowe, to dwóch funkcjonariuszy, nawet tak nikczemnego związkowego szczebla, może sobie zadysponować dowolną nieruchomością, pomijając wydziały ksiąg wieczystych i temu podobne głupoty. Pewnie gdy wytrzeźwiel, Heniuś zadzwonił do swojego kumpla ze Śląska, żeby wszystko przyklepały dyrekcje obu firm. Jak to miał w zwyczaju, Chwalibóg nie poszedł do dyrektora, który był formalistą, tylko kopnął się z flaszką do

⁵ A. Waligórski: Piękny cel.

sekretarza POP i tam po linii partyjnej załatwił, co trzeba. Tak go przynajmniej zapewnił sekretarz. Jeżeli jego związkowy kamrat ze Śląska zrobił to samo, to równie dobrze zakład pracy Zawadzkiego mógł wejść w posiadanie gruntów pod ośrodek w K. w ramach wygranej w grę „Monopoly”⁶.

Kierownik ośrodka funkcjonującego na wariackich papierach postanowił powiadomić dyrektora o rezultatach swojego dochodzenia.

– Panie dyrektorze, jedyne, co w tej sytuacji możemy zrobić, to poprosić dyrektora kopalni „Francik”, żeby przesłali nam ksero dokumentów, które mają u siebie. Jeżeli coś mają.

– Panie Jurku, niech pan to na razie zostawi tak jak jest, bo ja nic tu nie poradzę – dyrektor bezradnie rozłożył ręce. – Odwołują mnie i ma tu przyjść na moje miejsce jakiś spec, który będzie nas prywatyzował. To już będzie jego zmartwienie.

Zawadzki odczekał miesiąc i umówił się na spotkanie z nowym dyrektorem. Kamil Ostródzki był działaczem nowego ugrupowania politycznego, które współtworzyło chwilowo rząd w Warszawie. Był młodym

⁶ Gra planszowa (inna jej nazwa to „Eurobiznes”), która polega na kupowaniu nieruchomości i obracaniu nimi jako lokatą kapitału. Ciekawe, że w ramach gry przewidziano opcję dla inwestorów: „Idziesz do więzienia” i „Wychodzisz z więzienia”. Można odnieść wrażenie, że niektóre założenia ustrojowe Polski po 1989 roku zostały oparte na zasadach tej gry, włącznie z możliwością stania się milionerem na podstawie rzucania kostką.

prawnikiem, który pod koniec okresu studiów zafascynował się perspektywami, jakie gospodarka rynkowa daje ludziom takim jak on. Pracę magisterką odrobił jeszcze w ramach poprzedniego ustroju, a jej tytuł: „Postulatywny charakter aksjomatów ustrojowych w parametrycznej gospodarce uspołecznionej” i jej zawartość były w równym stopniu tautologią, jak i zwykłym belkotem stwarzającym pozory naukowości. To, że takie brednie podnoszono do rangi prac dyplomowych, wskazywało na cenę, jaką nauka w Polsce płaciła za powszechny i bezpłatny dostęp do wykształcenia i poddanie jej indoktrynacji ideologicznej. Po latach miało się okazać, że ta choroba zainfekowała także zachodnie uczelnie, w tym te renomowane. Marksisci, gdziekolwiek się pojawiają, degenerują każde społeczeństwo i jego zdobycze cywilizacyjne.

Nowy dyrektor zakładu Zawadzkiego swoje poglądy na przyspieszenie przemian społeczno-gospodarczych w Polsce wyluszczył w sześciu zdaniach:

– Proszę pana, dziwię się, że nie zapoznał się pan z moimi wytycznymi dotyczącymi restrukturyzacji tego zakładu. Ośrodek wczasowy jest przeznaczony do prywatyzacji. Zgłosił się już inwestor, który chce zaangażować prywatny kapitał. Zakład pracy to nie ochronka, tutaj się pracuje. Najwyższa pora, żeby tacy ludzie jak pan, to zrozumieli. Postępu nie da się zatrzymać.

Kierownik ośrodka patrzył na młodego człowieka i zastanawiał się, czy gówniarz ma matkę i ojca. A jeżeli ma, to co robili w czasie, który powinni poświęcić na jego wychowanie, w tym na kulturalne i pełne szacunku zwracanie się do osób starszych.

Gdy Ostródzki dalej perorował z miną aktywisty zaprowadzającego nowe porządki, Zawadzkiemu przypomniały się opowieści starszych braci o działaczach zetempowskich z czasów stalinowskich. Ówcześni budowniczo polskiej drogi do komunizmu musieli mieć taki sam wyraz twarzy i zapewne używali podobnych argumentów. Awangarda nowego ustroju zawsze zachowuje się tak samo, niezależnie od głoszonych idei.

– Tak więc, panie Zawadzki, sprawa jest przesądzona, a kwestie prawne proszę zostawić mnie. Jestem prawnikiem i trochę się na tym znam – tę ostatnią część zdania dyrektor wypowiedział w sposób, który u słuchacza miał nie pozostawiać wątpliwości, że prawnik skończył nie tylko jakąś elitarną uczelnię, ale w dodatku pracował w renomowanej kancelarii prawnej. – Pana proszę, żeby do czasu przekazania ośrodka nowemu właścicielowi przeprowadził pan inwentaryzację i proszę nie przekraczać limitów wydatków, a zwłaszcza ściśle przestrzegać limitów wynagrodzeń. Wszystko jest w moim raporcie.

Dyrektor, wyłącznie z wrodzonej skromności, nie dodał, że od rady nadzorczej spółki z o.o., w którą

przekształcono państwowe przedsiębiorstwo, na początek zażądał przemnożenia swojego wynagrodzenia przez dwa i pół. Rada nadzorcza, w skład której weszli w większości znajomi i ludzie z klucza, klepnęła tę niewielką uprzejmość w stosunku do nowego menedżera.

Nowy właściciel ośrodka wczasowego Janusz Kapica skontaktował się z Zawadzkim w maju. Po rozmowie z nim kierownik ośrodka doszedł do wniosku, że Polska droga do dobrobytu będzie drogą cierniową, skoro takie indywidua wzięły się za budowanie nowej rzeczywistości gospodarczej. Zawadzki nie miał jednak całego obrazu zmian w Polsce. Reguły rynkowe umożliwiły wielu Polakom nie tylko zaspokojenie elementarnych potrzeb, dotychczas dostępnych nielicznym, ale także pozwoliły na konsekwentne budowanie dobrobytu dla siebie, rodziny, a często także pracowników.

Gdyby jeszcze w Polsce udało się zbudować silne instytucje stojące na straży reguł państwa demokratycznego i kapitalizmu rynkowego, zapewne udałoby się po dwudziestu latach dogonić kraje Zachodu, tak jak w ciemno prognozował Kuroń. Tak się jednak nie stało, nie tylko ze względu na układ zawarty w Magdalence, ale także dlatego, że Zachód po upadku ZSRR uwierzył, że oto ludzkość osiągnęła pułap możliwości rozwojowych, więc można ogłosić „koniec historii”.

Brak konkurencji militarnej ze strony bloku sowieckiego rozleniwiał i ogłupiał tamtejszych polityków

i demos. Rozpieprzono to, co przez lata stanowiło fundament zachodniej demokracji i przewagi gospodarczej: rodzinę i klasę średnią. Przy okazji spuszczone ze smyczy finansistów, którzy zbudowali na piasku zamek z finansowych instrumentów pochodnych i kiedy misterna konstrukcja pierdyknęła, postanowiono, że prywatne straty milionerów zostaną pokryte z pieniędzy publicznych. Polska gospodarka, podobnie jak zachodnia, zaczęła dryfować.

Ale to stało się dwadzieścia lat później. W Polsce tymczasem w ramach nowego ustroju gospodarczego dławiono państwowe i wspierano prywatne. Kapica miał dojścia, znał ludzi, jego kumpel Ostródzki podsunął mu pomysł kupienia ośrodka wczasowego. Szlify biznesmena Kapica zdobywał na targowisku w końcowej fazie socjalizmu w Polsce. Handlował, czym się dało. Na początek deficytowym towarem produkowanym przez polskie przedsiębiorstwa, a z czasem przeczcił się na tureckie sweterki i sprane džinsy. W swoich biznesach rzadko przestrzegał podręcznikowych reguł, a już zupełną pogardą darzył płacenie w terminie faktur wystawianych przez kontrahentów. Niektórych faktur nie płacił w ogóle, wyznając zasadę, że problem długów jest problemem wierzycieli, a nie dłużnika. Pieniędźmi obracał równie szybko, jak firmami, które zakładał i likwidował. Korzystał ze sprzyjających warunków do prowadzenia szemranych interesów, bo połowa policji

i sądów zajmowała się bandyterką z Pruszkowa i Wołomina, a druga połowa siedziała w kieszeni u takich przedsiębiorców, jak on sam.

Ośrodek wczasowy w K. miał być jednak do pewnego stopnia jego nietypowym przedsięwzięciem. Żona biznesmena – Sylwia, długonoga blondyna, była okazem urody, zdrowej cery i zgrabnej figury, i jak to często bywa, mizernych walorów moralnych i intelektualnych. Przez kontrahentów Kapicy była pieszczotliwie nazywana gęsią wyścigową. Żona była jedyną osobą, z którą Janusz się liczył. A ponieważ małżonce zamarzyło się dyrektorowanie jakimś ośrodkiem wczasowym, postanowił kupić ośrodek w K. Żeby żona mogła dostać ulubioną zabawkę już od najbliższego sezonu, Kapica postanowił zatrudnić dotychczasowego kierownika ośrodka. W tym celu spotkał się z nim w ośrodku w K.

– Panie Jurku, mam dla pana ciekawą propozycję. A przy okazji, proszę mi mówić Janusz. – Kapica uważał, że prawdziwy biznesmen powinien skracać dystans, zwłaszcza w stosunku do nieznanych mu osób. – Otóż chcę, żebyś dalej kierował tym ośrodkiem w sezonie. – Nie czekając na zgodę, Janusz przeszedł ze swoim rozmówcą na „ty”.

– Dziękuję panu za propozycję, ale wolalbym, żebyśmy jednak zwracali się do siebie, używając grzecznościowego zwrotu „pan”. Po drugie, mam inne plany.

Zamierzam otworzyć własną działalność gospodarczą. Wie pan, praca najemna ma swoje plusy, ale czuję się jeszcze na tyle sprawny, żeby spróbować stanąć na własnych nogach i poczuć smak kapitalizmu.

– Proszę pana, prowadzenie firmy to nie jest jakaś tam bułka z masłem, do tego trzeba mieć talent. Pomnażanie pieniędzy wymaga wiedzy ekonomicznej, wyczucia rynku, stosowania marketingu. Wie pan, na czym polega marketing? Słyszał pan o koncepcji 4P?

– Nie. Gdyby był pan uprzejmy powtórzyć – Zawadzki wyjął z kieszeni marynarki notes i długopis – to sobie zanotuję. Jak to mówią, człowiek uczy się przez całe życie, a pan, jak widzę, jest kopalnią mądrości.

– Później, panie Jurku kochany, później – Kapica udął, że nie dostrzegł w słowach rozmówcy sarkazmu. – Teraz proszę, żeby pan jednak ponownie przemyślał sprawę. Proszę mi nie odmawiać. Tylko ten sezon. Bardzo pana proszę. Utrzymam panu wynagrodzenie i na koniec, jak wszystko ładnie wypali, dorzucę premię. Taką wie pan... – szukał odpowiedniego słowa – mega duuuużą!

Kierownik chwilę patrzył na nowego właściciela ośrodka i kalkulował. „Jak się teraz zawinę, to praktycznie, poza odprawą z firmy, nie mam nic. Oszczędności wystarczą może na rok. Jak posiedzę tu jeszcze do końca września, to będę mógł przygotować się do

przejścia na własne. O ośrodku wiem wszystko, więc jak facet zapewni finansowanie, to dam sobie radę”.

– Proszę pana, mogę rozważyć poprowadzenie ośrodka w tym sezonie, do końca września. Ale mam trzy warunki. Spisujemy moją umowę o pracę na czas określony i upoważnienie do odbioru faktur. Moja umowa kończy się z końcem kwietnia, więc żeby zachować ciągłość uprawnień zusowskich, muszę mieć umowę z początkiem maja. To po pierwsze. Po drugie, dotychczasowa ekipa z kuchni i sprzątaczkę zostają. I po trzecie, musi mi pan zostawić pieniądze na dokonanie niezbędnych napraw i remontów przed sezonem. Potrzebne będzie na kolejny miesiąc jakieś osiemdziesiąt milionów złotych⁷.

– Oczywiście, panie Jurku, oczywiście. Zgadzam się na wszystko. Ale pieniądze prześlę panu później. Proszę wykorzystać pieniądze, które zostały w kasie po inwentaryzacji.

– Po inwentaryzacji w kasie, szanowny panie, zostało sześć milionów. A faktur do opłacenia mam na piętnaście.

– Ech. Twardy z pana gracz. Tu ma pan dziesięć milionów. Proszę pokwitować – Kapica wyciągnął ze skózanego nesesera plik banknotów i formularz. Było widać, że jest przygotowany na taki przebieg rozmowy.

⁷ Kwota przed denominacją w 1994 roku, która stare nominały dzieliła przez 10 tysięcy.

– To nie gra, proszę pana, to realia i prosty rachunek arytmetyczny – odpowiedział Zawadzki, podpisując odebranie pieniędzy. – Kiedy mogę się spodziewać umów dla mnie i pracowników?

– Nie docenia mnie pan albo mi nie wierzy, a szkoda, panie Jurku. Proszę, tu są umowy dla pana i pomocy sprząających.

– A kuchnia?

– Wie pan, idą nowe czasy, a dotychczasowe menu, hmm – właściciel ośrodka zawiesił głos – jest jakby z poprzedniej epoki. Dzisiaj ludzie nie chcą już pomidorowej, ogórka kiszzonego i zupy mlecznej. Wprowadzenie nowego menu wymaga wprowadzenia nowej ekipy do kuchni. Trzeba postawić na młodych, ale tym to już się zajmie moja żona Sylwia. A propos, moja żona jest formalnym właścicielem ośrodka i to jej podpisy widnieją na umowach, ale ponieważ nie ma jeszcze doświadczenia w prowadzeniu biznesu, na razie zajmie się tylko sprawami żywienia. Do czasu skompletowania nowej ekipy kucharzy musicie się państwo żywić samodzielnie. Oczywiście kuchnia jest do państwa dyspozycji. I jeszcze jedno, od dzisiaj ośrodek będzie się nazywał „Sylwia”. Ładnie, nie uważa pan?

„Ślicznie”, pomyślał Zawadzki, „inne biznesy pewnie nazwał imionami swoich kochanek”. Nie skomentował jednak pomysłu właściciela ośrodka, nieznacznie tylko kiwnął głową.

– To co, możemy uznać, że zaczynamy pełną parą od pierwszego czerwca? – upewnił się Kapica.

– Nie ma takiej możliwości – bez namysłu zaproponował kierownik ośrodka. – Do czerwca może uda się przygotować budynek kolonijny, ale drewniane domki rodzinne najwcześniej będą gotowe pod koniec czerwca. A tak przy okazji, skoro zmienia pan menu, to może warto zainwestować nieco w podniesienie komfortu. Przydałyby się nowe meble, może telewizory i lodówki w domkach – głośno zastanawiał się Zawadzki.

– Panie Jurku, ja najpierw muszę wiedzieć, ile na tym zarobię, a potem będę myślał o inwestycjach.

– A to ciekawe, bo mnie się zawsze wydawało, że najpierw trzeba zainwestować, żeby potem móc zarabiać. No ale ja pewnie się nie znam tak jak pan na tej nowej ekonomii.

– Właśnie, niech pan zajmie się organizacją, a mnie zostawi zarządzanie – w ten sposób Kapica dokonał rozdzielenia organizacji od zarządzania, co było w równym stopniu nowatorską, jak i oryginalną koncepcją biznesową.

Z końcem maja Zawadzki skontaktował się telefonicznie z Kapicą, krótko informując o przygotowaniach do sezonu i prosząc o przekazanie pieniędzy na dalsze prace i wypłatę dla siebie i pracowników. Otrzymał zapewnienie, że pieniądze są w drodze. I na tym na jakiś czas kontakt z biznesmenem się urwał. Kierownik

ośrodka postanowił jednak dalej prowadzić prace, przygotowując ośrodek do sezonu. Ponieważ z ekipami stolarzy, dekarzy i malarzy, już pracujących na własnym, zakolegował się jeszcze w ramach starego systemu, pokrył im wydatki na materiały, prosząc o odroczenie płatności za usługi o jeszcze dwa tygodnie. Część mniejszych napraw wykonywał samodzielnie, chcąc w ten sposób zaoszczędzić trochę pieniędzy. Niestety już w pierwszej dekadzie czerwca zabrakło pieniędzy i żeby nakarmić siebie i trzy sprzątaczk Zawadzki musiał wyłożyć swoje pieniądze. Żona, która przyjeżdżała do niego na weekendy, przywiozła mu część ich własnych oszczędności.

W połowie czerwca niezapowiedziana zjawiała się nowa właścicielka. Sylwia Kapica zajechała na parking ośrodka Fordem Skorpion w wersji cabrio. Przez chwilę obracała głową, lustrując ośrodek i krzywiąc się z niesmakiem. To, co zobaczyła, dalece odbiegało od tego, co widywała ostatnio w ośrodkach turystycznych we Włoszech, Hiszpanii i Francji. Zdecydowanie nie chciała szefować temu czemuś. Postanowiła, że zanim podejmie ostateczną decyzję, obejrzy sobie kuchnię.

Zawadzki siedział przed telewizorem, gdy do jego pokoju weszła bez pukania jedna ze sprzątarek.

– Panie Jurku, przepraszam, że bez pukania, ale przyjechała jakaś baba i się szarogęsi w kuchni. Mówi, że jest właścicielką tego chlewu. No tak powiedziała –

szybko dodała sprzątaczką, gdy kierownik spiorunował ją wzrokiem. – Każę sobie wszystko pokazywać i ustawiać nas jak kapral we wojsku – wyrzuciła z siebie pracownica.

Kierownik spojrział znad okularów, które zakładał do czytania i wyczekująco patrzył na kobietę.

– Pan tam pójdzie, bo jak Zocha straci cierpliwość, to tę babę zatłucze tasakiem. Pan wie, że ona nie dość, że ma słuszną wagę, to jeszcze nerwów nie potrafi utrzymać na wodzy.

Zawadzki wstał z fotela, zamknął pokój na klucz i poszedł w stronę stołówki. Po drodze, mijając parking, spojrzął na różowego Forda Scorpio i pokiwał z politowaniem głową. W stołówce stała blondyna i sprzątaczką Zofia. Trudno było o bardziej zróżnicowaną parę. Zocha, niska, niezgrabna i co tu mówić, gruba baba, nie grzeszyła także urodą. Z tą grubo ciosaną fizjonomią sprzątaczkę znakomicie korelowała niewyparzona gęba i skłonność do używania przemocy. Także wobec mężczyzn. Stosowny trening przeprowadzała na swoim mężu, ilekroć ten wracał naprany z pracy. Biedny chłop następnego dnia szedł do roboty nie tylko na potężnym kacu, ale w dodatku z podbitym okiem albo rozciętą wargą. Jerzy podszedł do obu kobiet.

– Dzień dobry – przedstawił się Kapicy i nieśmiało wyciągnął rękę – nazywam się Zawadzki i pełnię tu

funkcję kierownika. Pani Sylwia Kapica jak mi nie mam?
Czym mogę pani służyć?

– Obawiam się, że niczym – fuknęła primadonna ubrana w krótką, czarną, skórzaną spódniczkę, która ledwo zasłaniała majtki, i białą bluzkę z dużym dekoltem.
– Mój mąż jest niepoprawnym optymistą, jeżeli sądzi, że z tej ruiny można stworzyć nowoczesny ośrodek turystyczny. To jest... – długo szukała właściwego słowa – jakiś obóz, to jakieś nieporozumienie.

Kapicowa nie doceniała męża, bo ten nigdy nie wtajemniczał jej w niuanse swoich interesów. Nie wiedziała, że biznesmen Kapica jest także czarodziejem i potrafi, niczym król Midas, zamienić wszystko w złoto, no może bardziej w złote polskie. Przynajmniej na papierze.

W obecności kierownika Zofia poczuła się pewniej i postanowiła przypuścić atak na ślicznotkę.

– Nieporozumienie to jest, gdy kierownik musi z własnej kieszeni płacić na utrzymanie personelu, pani hrabino – Zocha spojrzała na Zawadzkiego wyczekująco. Ponieważ ten się nie odezwał, kontynuowała: – A drugie nieporozumienie to jest, gdy właściciel zamiast przysłać pieniądze, przysyła swoją żonkę. Trzecie nieporo...

– Pani tu już nie pracuje! Czerwona na twarzy blondynka postanowiła pokazać, kto tu rządzi. – Ja jestem

właścicielką tego przybytku, a pani niech się stąd zabiera!

Kierownik spojrział na blondynkę i na swoją podwładną, pokręcił głową i zwrócił się spokojnym głosem do Kapicy:

– Uprzejmie panią informuję, że do sezonu zostały dwa tygodnie. Brakuje nam nie tylko pieniędzy, ale i pracowników. Wciąż czekamy na pracowników stolówki. Jeżeli nie dostanę jednego i drugiego w ciągu tygodnia, to może pani zwolnić wszystkich, jak leci. Ja z gówna bata nie uknęczę.

Blondynka zmrużyła oczy, mimowolnie zacisnęła dłonie w pięści i wysyczała:

– Wobec tego niech się pan pakuje. Na wasze miejsce mam dwudziestu chętnych. Taką pracę w dzisiejszych czasach weźmie każdy z pocałowaniem ręki. A kucharzy, proszę pana, to ja sprowadzę z Krakowa.

„Zapewne z Wierzyńka”, pomyślał z sarkazmem kierownik. „A twój kaowiec sprowadzi artystów z »Pivnicy pod baranami« do kompletu”.

– Gdzie tu jest telefon? Muszę zadzwonić do męża!
– nowa właścicielka zadała pytanie, nie patrząc na swoich rozmówców.

– Na recepcji, paniusiu – wyrwała się Zofia.

– Pani Alino – Zawadzki zwrócił się do drugiej pracownicy – proszę zaprowadzić panią do recepcji.

Po dziesięciu minutach Kapicowa wypadła z recepcji zła jak osa i szybkim krokiem skierowała się na parking. Wsiadła do różowego cabrio i z piskiem opon wyjechała za bramę ośrodka. Po chwili w drzwiach stolówki pojawiła się Alina.

– Panie kierowniku, mąż pani hrabiny do pana – krzyknęła sprzątaczką, nie ukrywając radości, jaką sprawia jej nazywanie Kapicy hrabią.

Zawadzki poszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

– Panie Zawadzki, wolalbym, żeby pan panował nad swoimi pracownikami. Kierownik, który pozwala pracownikom na impertynencje wobec właścicieli firmy, daje dowód tego, że powierzone stanowisko go przerasta. Zarządzanie zasobami ludzkimi to...

– Przepraszam, że panu przerwę – Jerzy powoli i wyraźnie artykułował każde słowo – ale chciałbym coś panu wyjaśnić. Nie jestem już kierownikiem, ponieważ pana małżonka zwolniła, jak leci, wszystkich pracowników, ze mną na czele. Proszę więc sobie poszukać kogoś innego, komu będzie pan robił wykład z cyklu: Jak nowoczesnie zarządzać ośrodkiem wczasowym. Poza tym, panie Kapica, proszę poinstruować małżonkę, że wypowiedzenie umowy o pracę, zgodnie z obowiązującymi przepisami, powinno mieć formę piśmną. I na koniec...

– Panie Jurku – tym razem to Kapica wszedł w słowo rozmówcy – wszystkich nas poniosło. Kazałem żonie zostawić nasze sprawy i wracać do domu. Wszyscy pracownicy, oczywiście z panem w roli kierownika, zostają. Przejdźmy do interesów. Mam już pierwszych klientów i...

– A ja nie mam już pieniędzy ani zespołu do kuchni. Jak pan sobie wyobraża przyjęcie wczasowiczów w takiej sytuacji? Żeby załatwić zaopatrzenie do kuchni, potrzebuję paru dni, a oprócz tego...

– Panie Jurku, najważniejszy jest klient i jego oczekiwania.

Zawadzki spojrzał w górę, oczekując boskiej pomocy. „Boże mój, ten buc i jego stara są chyba nagrani. Ktoś im wgrał jak w filmach science-fiction jakiś podręcznik marketingu i teraz odtwarzają to jak z taśmy”.

Kapica tymczasem kontynuował monolog:

– Ja wykonałem najważniejszą robotę – znalazłem klientów. Pana rola sprowadza się do ich obsłużenia.

– Ale ja muszę mieć środki, żeby ich, jak pan to ujął, obsłużyć. Nie mam pieniędzy, nie mam ludzi, mam niedokończony remont. Być może ustrój nam się zmienił, ale materia wciąż pozostaje nieznośnie niezmienna. Nie ma środków, panie Kapica, nie ma wczasów.

– Jutro przyjedzie do pana mój człowiek z pieniędzmi. Zostanie do pomocy. Proszę mu znaleźć jakieś przyzwoite lokum.

– Jest kucharzem?

– Nie, pomoże panu w zarządzaniu ośrodkiem.

– Proszę pana – kierownik nie krył już irytacji – ja nie potrzebuję zastępcy, ja potrzebuję ludzi do kuchni. No chyba że pan liczy na to, że sam zacznę gotować, tylko że wtedy wczasowicze wyjadą po jednym dniu.

– Ha, ha, ha – wymuszonym śmiechem Kapica spróbował rozładować napiętą atmosferę. – Cieszy mnie, że mimo wszystko trzyma się pana poczucie humoru. Wierzę w pana, panie Jurku, i proszę przygotować ośrodek na tip-top.

Zawadzki usłyszał kliknięcie widelek telefonu swojego rozmówcy. Przez chwilę patrzył w słuchawkę, zastanawiając się, czy rzucić mięsem, czy pieprznąć słuchawką w blat pulpitu recepcji. Spojrzał tylko wymownie na swoje pracownice, pokiwał z niedowierzaniem głową i streścił rozmowę jednym zdaniem:

– Jutro jakiś facet ma przywieźć pieniądze.

Następnego dnia do ośrodka przyjechał człowiek z pieniędzmi. Był nim młodszy brat Kapicy Edward. Tak jak domyślał się tego Zawadzki, młody Kapica przywiózł tylko pieniądze na najpilniejsze wydatki, sołennie zapewniając, że resztę dowiezie w ciągu tygodnia. Na razie kazał sobie przyszykować jeden

z domków, bo jak stwierdził: ma zamiar na weekend sprowadzić znajomych i dobrze się zabawić.

– Robimy imprezkę, panie Jurku, może pan do nas dołączy? Będą panienki i dla pana coś się znajdzie – zaproponował rubasznie Edzio.

– Dziękuję, ale chyba dzieli nas za duża różnica wieku, a poza tym jestem żonaty i mam syna prawie w pana wieku.

– A co to przeszkadza? No chyba że pan już nie...

– Nie kończ, synku, bo możesz tego pożałować i zamiast zabawiać się z panienką, będziesz się gapił w kardiomonitor.

Jerzy popatrzył na smarkacza z politowaniem i wrócił do swoich zajęć.

Tydzień później do pokoju kierownika ośrodka zadzwoniła sprzątaczką, która tymczasowo pracowała także jako recepcjonistka.

– Panie kierowniku, proszę szybko przyjść na recepcję, mamy już gości!

Zawadzki, idąc w kierunku recepcji, zauważył auto-kar stojący na parkingu z napisem Start Starachowice. Przed małym budynkiem administracyjnym stało kilkanaście osób z torbami na sprzęt sportowy. Mężczyźni, same dryblasy po metr dziewięćdziesiąt i więcej, rozmawiali podniesionymi głosami i nerwowo gestykulowali.

– Pan jest kierownikiem?! – ostrym głosem zwrócił się do Jerzego wyraźnie niższy i starszy od reszty gości mężczyzna.

– Zawadzki – przedstawił się Jerzy – w czym mogę pomóc?

– Kaliszczak. Jestem trenerem, a to moja drużyna. Mamy vouchery na tygodniowy pobyt treningowo-rekreacyjny.

Mężczyzna podał kierownikowi zadrukowane na kolorowo blankiety na papierze kredowym. – A tu są ulotki reklamowe tego ośrodka – podał foldery. – To, co tu widzę, trochę różni się od tego, co jest tu na zdjęciach, nie sądzi pan?

Jerzy popatrzył na blankiety, potem na zdjęcia na folderze i przeczytał opis pod nimi. „Voucher”, powiedział do siebie w myślach. „No to teraz już mamy na pewno kapitalizm, bo zamiast skierowań na wczasy, ludzie dostają vouchery”. Po chwili odwrócił kartkę. Jeszcze raz spojrzał na stronę tytułową. Uśmiechnął się krzywo i pokiwał z niedowierzaniem głową.

– Pana to bawi? To ma być żart? – Kaliszczak zaczął wchodzić na kolejny poziom agresji.

– Skąd pan ma te skiero..., a nie – poprawił się – vouchery i te foldery?

– Jak to skąd? – pytaniem na pytanie odpowiedział trener. – Dostaliśmy w biurze turystycznym. To jest ośrodek „Sylwia”, zgadza się?

– Pokazuje mi pan folder ze zdjęciami jakiegoś ośrodka. Bardzo nowoczesnego, jak sędzę po tym, co widzę na zdjęciach. Właściciel tego ośrodka, w którym się znajdujemy, faktycznie chciał go nazwać Sylwia, ale jak na razie poinformował mnie o tym nieformalnie. Na mojej umowie o pracę nie ma o tym ani słowa. Być może pan Kapica ma jeszcze jakieś inne ośrodki na stanie i pokazał panu folder któregoś z nich.

– Chce pan powiedzieć, że zostałem oszukany?

– To pan powiedział. Może po prostu zaszła pomyłka i przyjechaliście nie do tego ośrodka, co trzeba.

– Ale na voucherach mam jak byk napisane: ośrodek w K.

– Zgadza się, ale na tym folderze już nie. Jak pan słusznie zauważył, zdjęcia nie odpowiadają rzeczywistości.

Kaliszczak stał przez chwilę, gotując się w środku i w końcu wysapał:

– Pan jest pracownikiem tej firmy, więc proszę uprzejmie wyjaśnić tę sytuację.

– Oczywiście.

Zawadzki sięgnął po telefon i zakręcił kilka razy tarczą. Przez chwilę wsłuchiwał się w dźwięk w słuchawce, po czym podał słuchawkę trenerowi. Gdy ten już sięgnął po telefon, Zawadzki rzucił krótko:

– Niestety zajęte.

– Pan sobie ze mnie jaja robi? Ja zaraz pójde po milicję – Kaliszczak oczekiwaniami już był w nowym stroju, ale w nerwach wciąż odwoływał się do starej nazwy byłego zbrojnego ramienia partii.

– Pani Zosiu – Jerzy zwrócił się do recepcjonistki – niech pani zaprowadzi zawodników do stolówki i proszę im podać coś do picia i jakieś owoce. A pan niech pozwoli ze mną do pokoju.

Gdy weszli do apartamentu, Zawadzki podał trenerowi szklaneczkę whisky z lodem, mówiąc:

– Przyda się panu, jak pan wysłucha tego, co mam panu do powiedzenia.

Następnie przedstawił trenerowi sytuację, w której obaj się znaleźli. Po dziesięciu minutach, gdy zdecydowali się już przejść na ty, Kaliszczak poprosił:

– Jerzy, nalej mi jeszcze jednego! Muszę się zastanowić, co zrobić z tym pasztetem. Może mi coś zaproponujesz? Do diabła z tym, że komfort jest nie taki jak na folderze. To młode chłopaki, przywykną do tego, co jest, ale muszę mieć salę treningową i zaplecze z prysznicami. Jedzenie też powinno być przygotowane według odpowiedniej diety dla sportowców. Basenu tu nie ma? Trudno. Na basen dojedziemy autobusem. Gdzie jest najbliższy? Jakie tu masz pokoje? Dwu- czy trzy osobowe? – trener wykladał kolejne karty swoich oczekiwań.

– Zdzisiu, to nie jest Spała ani Władysławowo. To jest ośrodek wczasowo-kolonijny byłego socjalistycznego przedsiębiorstwa, z socjalistycznym zapleczem. Od biedy mógłbym umieścić twoich chłopaków w domkach na tydzień, ale ja w nich jeszcze robię remont. W tym dużym murowanym budynku są sale dla dzieci, które tu przyjeżdżają na kolonie, z łazienkami na korytarzu.

– Ile osób w pokoju? Dwie, trzy? – trener wciąż ludził się, że może uda mu się cokolwiek poskładać do kupy.

– To są sale, a nie pokoje. Na piętnastu smarkaczy, a ty masz zawodników jak sosny. Każdy po dwa metry. Moje łóżka w salach mają góra po sto osiemdziesiąt centymetrów, więc musiałbym ze trzy łóżka zestawić, ale i tak nie wiem, czy wytrzymają ciężar twoich chłopów. Najbliższa sala treningowa jest w szkole. Ale kosze wiszą tam nie na trzech metrach, tylko na wysokości dwa pięćdziesiąt czy dwa sześćdziesiąt. Więc twoi zawodnicy mogą tam grać w koszykówkę w kucanego. Mogę pogadać z dyrektorem, to może ją wam udostępni na tydzień. Najbliższy sensowny basen jest w Trójmieście. Owoce i warzywa załatwię, ale kucharza nie mam.

– Czyli jestem w głębokiej dupie – skonstatował Kaliszczak. – Polej mi jeszcze jednego i podaj mi z łaski swojej telefon.

Przez pięć minut Zawadzki słuchał, jak jego nowy znajomy rzuca mięsem i żąda od prezesa klubu zatrudnienia mafii w celu wyegzekwowania na biznesmenie zwrotu wydanych już pieniędzy albo wykonania wyroku. Gdy trenerowi skończyły się pomysły na tortury, jakie chciał zafundować Kapicy, zwrócił się do Zawadzkiego:

– Jureczku, nic tu po nas. Wracamy do Starachowic, a ty chłopie lepiej spierdalaj stąd, gdzie pieprz rośnie. Szkoda cię dla takiego bydlaka.

Zawadzki postanowił poczekać do początku lipca. Na dwa dni przed rozpoczęciem sezonu wczasowego Jerzego obudziło trąbienie samochodów. Podeszedł do okna i zobaczył stojące przed zamkniętą bramą ośrodka samochody i ludzi szarpiących za bramę.

– Co do cholery – mruknął do siebie – co to za palanty?

Ubrał się, zszedł na dół i zbliżył się do bramy.

– No, panie dozorco, co jest? Proszę otworzyć! – krzyknął facet z kapitańskim zarostem, broda bez wąsów.

– Panie ładny, przestań pan trząść tą bramą, bo ja panem zaraz potrząsnę – ostrzegł Zawadzki. – Państwo do kogo?

– Proszę iść po kierownika, przyjechaliśmy na wczasy – stojąca obok „kapitana” brunetka w trykoto-

wej bluzeczce nie miała pod spodem stanika, co nie uszło uwadze Jerzego.

– Po pierwsze, droga pani, jest szósta godzina, szósta rano – dodał kierownik, żeby towarzystwo nie miało wątpliwości, że o tej porze normalni ludzie śpią. A po drugie, turnus zaczyna się za dwa dni.

– Ale my przyjechaliśmy już dzisiaj, bo jest tak ładna pogoda – zatrajkotała kobieta.

„Ale może mnie to głównie obchodzi”, w odpowiedzi pomyślał Zawadzki, głośno jednak powiedział:

– Przykro mi, ale ośrodek jest jeszcze nieprzygotowany. Nie mam gdzie państwa zakwaterować.

– Jak to? – do rozmowy włączyła się szatynka, która wysiadła z zielonego opla. – Zapewniano nas, że możemy przyjechać wcześniej i najwyżej dopłacimy za dwa dni popytu w domkach już na miejscu.

„To skurwysyn” – w myślach zmiał przekleństwo Jerzy.

Stali tak chwilę po obu stronach bramy. Oni, nie wiedząc jeszcze, że zostali wydymani, on już na skraju wyczerpania nerwowego. W pewnej chwili Zawadzki postanowił rozwiązać problem raz na zawsze, zawiązując alians z klientami przeciwko pracodawcy.

– Proszę, niech państwo na razie wjadą do środka, a ja muszę się skontaktować z właścicielem.

Otworzył bramę, wpuścił wczasowiczów i zaprosił ich do stolówki na kawę. Chwilę z nimi porozmawiał, wrócił do pokoju i sięgnął po telefon.

„Jest wpół do siódmej, gnojek pewnie jeszcze śpi, powinien więc odebrać”. Kierownik zakręcił kilka razy tarczą i czekał.

– Taaak? – usłyszał po chwili zaspany głos Kapicy w słuchawce.

– Tu Zawadzki, panie Kapica. Niech pan słucha uważnie, bo nie mam zamiaru powtarzać. Mam na stole nie zapłacone faktury na sto pięćdziesiąt milionów. Kolejne sześćdziesiąt czeka na wypłatę dla mnie i pracowników. Z własnych pieniędzy wyłożyłem sześćdziesiąt na zapłacenie najpilniejszych rachunków i faktur. Właśnie przyjechali pierwsi wczasowicze, których nie tylko nie mam czym nakarmić, ale także gdzie położyć, bo pan nie był uprzejmy wywiązać się z obietnic i zamiast pieniędzy przysłał mi pan swojego stukniętego braciszka, który od trzech dni baluje na koszt ośrodka i już przepuścił dwadzieścia milionów. Na tyle kazał w sklepach i knajpach, w których imprezował, wystawić faktury. Niech mi pan, kurwa, nie przerywa, panie Kapica. Ja te sześćdziesiąt milionów jakoś przelknę, znajomi, którzy mi zawierzyli i czekają na zapłacenie faktur najwyższej przestaną się do mnie odzywać. Pracownice, którym pan zalega z wypłatą, poskarżą się swoim chłopom, a ponieważ to są prości ludzie, więc sądzić się

z panem nie będą. Po prostu jak się któryś wnerwi, to panu sprzeda kosę, jak pan tu przyjedzie. Moja ostatnia, nienegocjowalna propozycja dla pana brzmi następująco: Ma pan dwa dni, żeby zjawić się tutaj z pieniędzmi. Dwieście siedemdziesiąt milionów plus dla mnie, z góry, zapłata za trzy miesiące i rozwiązanie umowy z dniem 1 lipca. Najpóźniej jutro chcę widzieć pełną obsadę do kuchni, z ważnymi wynikami badań lekarskich. Jeżeli pan to zrobi, to ja w tydzień przeszkolę pana braciszka i zostawię mu wytyczne co ma zrobić, żeby ten ośrodek jako tako funkcjonował. Pokażę mu gdzie, co i u kogo ma kupować, żeby dostać dobry towar taniej. Pracownicy ośrodka być może podejmą decyzję, żeby tu dalej pracować, ale ja ich do tego namawiać nie będę. Jeżeli pan to zrozumiał i akceptuje, to za tydzień się ostatecznie pożegnamy. A, i jeszcze jedno. Wśród wczasowiczów jest jakaś dziennikarka z telewizji w Warszawie. Jeżeli pan nawali, to już ona zrobi wam piękną ogólnopolską reklamę.

Przez chwilę w słuchawce słychać było tylko trząski typowe przy prowadzeniu rozmów zamiejscowych. Wreszcie Kapica się odezwał:

– Jutro będą kucharki i moja żona z pieniędzmi. Proszę przeszkolić Edka. To wszystko.

Kapica odłożył słuchawkę.

Rzeczywiście następnego dnia zjawili się Sylwia z pieniędzmi i kucharkami. Zawadzki, tak jak obiecał,

szkolił Edzia i obwioził go po okolicznych sklepach i targowiskach. Po tygodniu zabrał swoje rzeczy do samochodu, pożegnał się ze swoim starym personelem i wyjechał.

Przez blisko trzydzieści lat, od czasu do czasu, trafiał w prasie na nazwisko Kapicy. Zawsze przy okazji jakiejś biby wieńczącej wydatkowanie publicznych pieniędzy na przedsięwzięcia realizowane przez różne firmy prywatne, zblatowane z politykami.

Po 2015 roku o Kapicy chwilowo zrobiło się cicho. W czasie pandemii Zawadzki przeglądał stronę internetową i znów trafił na nazwisko swojego ulubieńca. Tym razem biznesmen okazał się jednym ze współudziałowców firmy, która została wynajęta do budowania dwóch szpitali polowych i fabryki maseczek.

Fragile

– Uważamy Darwina za twórcę teorii ewolucji, która zachodzi poprzez dobór naturalny gatunków. Jego ideę od XIX wieku rozwinęło wielu biologów, potwierdzając, że jedne gatunki wymierają, ustępując miejsca tym, które natura lepiej wyposażyla w umiejętność przeżycia. Ewolucja wyposażyla nas, mam na myśli ludzi, w umiejętności, dzięki którym mogliśmy fizycznie przystosować się do wyzwań natury i zmian, a różne negatywne przeżycia niejednokrotnie czyniły nas psychicznie silniejszymi.

Nauczyciel biologii Henryk Potajallo powiódł wzrokiem po sali niczym Adaś Miauczyński. Szukał wzrokiem tej jednej, jedynej pary oczu, która zadałaby kłam tezie, że cała ta klasa składa się wyłącznie z jednostek, których życie sprowadza się do oddychania, jedzenia i wydalania. Niestety, prawie trzydzieścioro osobników płci mieszanej oddawało się atawistycznym czynnościom, polegającym na zabiciu nudy. Część uczniów patrzyła na nauczyciela wzrokiem, jakim krowy na pastwisku wodzą za pastuchem, kiedy ten

przychodzi je przepalikować. Inni gryzdali w zeszytach. Nie, nie notowali – gryzdali. Ci bardziej utalentowani coś tam próbowali rysować, ci nie obdarzeni przez Stwórcę talentami maziali długopisem z takim zapalem, jakby od tego, czy uda im się wypisać tusz w czasie lekcji, zależało ich życie. Paru marzycieli patrzyło za okno na jesienne liście niesione porywami wiatru, nie mogąc doczekać się dzwonka na przerwę. Od czasu, gdy dyrektor szkoły wydał zarządzenie, że uczniowie mają mieć wyciszone smartfony w torbach, przeżycie czterdziestu pięciu minut lekcji było dla niektórych nastolatków prawdziwą udręką. Co prawda, kilkoro rodziców próbowało oprotestować pomysł dyra, a jeden, będący radnym miejskim, nawet go straszył, że złoży stosowną interpelację w kuratorium i u wiceprezydenta miasta odpowiedzialnego za edukację. Wówczas jednak jeden z rodziców przypomniał radnemu uprzejmie, żeby nie był taki wrywny, bo za kilka tygodni są wybory i może się okazać, że po mandacie radnego zostanie tylko wspomnienie.

– Ja osobiście uważam – mimo braku zainteresowania ze strony uczniów, biolog kontynuował wywód, bo w końcu za to mu płacili – że pierwszym, który intuicyjnie zrozumiał, że życie na naszej planecie podlega ciągłym zmianom, że coś się rodzi, a coś umiera, był grecki filozof i podróżnik Heraklit z Efezu. Czy ktoś

z was słyszał takie powiedzenie: Wszystko płynie? Albo, że: Nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki?.

– Jak to się nie da? Co pan mówi? Ja w wakacje kąpałem się w Wiśle. I wchodziłem tam chyba ze cztery razy w ciągu jednego dnia.

Wyrośnięty ponad kolegów blondyn z czupryną przyszytych na podobieństwo szlachcica dał znać, że żyje i w dodatku słucha tego, co mówi nauczyciel.

Potajallo popatrzył na ucznia i niczym rasowy blogger zadał sobie pytanie: Co poszło nie tak? Czterdzieści lat temu, gdyby zamiast zastanowić się nad słowami nauczyciela, gdyby zamiast spróbować zrozumieć znaczenie słów złożonych w zdanie, odpowiedziałby w tak bezmyślny sposób, jak właśnie zrobił to przerośnięty Waclawik, zostałby obśmiany i to nie przez nauczyciela, ale zapewne przez własnych kolegów. W czasach gdy on, Henryk Potajallo, był siedemnastoletnim uczniem, nieznajomość takich powiedzeń była powodem do wstydu. Obciach to było najgorsze, co mogło się przydarzyć dojrzewającemu młodemu człowiekowi, który zaliczał niewybaczalną wpadkę intelektualną, usiłując zaimponować koleżankom i kolegom. A przecież Henryk chodził do zwyczajnej, państwowej szkoły średniej, bo innych wtedy nie było. Jego buda była przeciętna, nie wyróżniała się niczym szczególnym.

Na takie brednie, jakie były udziałem Waclawika, nauczycielka biologii zareagowałaby rzuciwszy ucz-

niowi w twarz: Siadaj, głąbie, i nie odzywaj się, jeżeli masz pleść takie bzdury. Dzisiaj za podobną uwagę skierowaną do ucznia nauczyciel może wylecieć ze szkoły. Wiedząc o tym, biolog nabral głęboko powietrza do płuc i ostrożnie wydusił z siebie:

– Jasiu, nie zrozumiałeś mnie. Nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki oznacza, że nie jest to możliwe, bo rzeka wciąż płynie i woda w niej nie jest już tą samą wodą. To taka metafora.

– Ale jak to nie jest tą samą wodą? Przecież to głupie. Co, nagle zmieniła skład chemiczny? – okazało się, że przerośnięty może i nie kojarzy metafor, ale jego rozumowanie nie jest do końca pozbawione logiki. Z wyjaśnienia tej skomplikowanej kwestii związków pomiędzy przysłowiami, metaforami a logiką nauczyciela wybawił dzwonek.

„Dobra, jeszcze trzy godziny lekcyjne w podstawówce i na dzisiaj koniec. Nie licząc konieczności przygotowania harmonogramu wycieczki do Poznania dla licealnej IIIB i sprawdzenia klasówek”, Henryk układał sobie w głowie plan na resztę dnia.

Pod szkołą podstawową, gdzie Potajallo miał drugi etat, stał policyjny radiowóz. Ponieważ trwały lekcje, na korytarzach szkoły stało tylko kilkoro uczniów, którzy półgłosem wymieniali uwagi, żywo przy tym gestykulując. Jak zwykle biolog skierował się

najpierw do pokoju nauczycielskiego. W sali siedziały jego cztery koleżanki i dwie umundurowane policjantki.

– Dzień dobry wszystkim paniom. – Henryk ukłonił się i zwrócił się do Aliny Kobylańskiej, szkolnego pedagoga: – Który z naszych milusińskich aż tak nabroił, że musiała przyjechać policja?

– A pan to kto? – rzuciła pytanie jedna z policjantek, niższa i bardziej przysadzista.

– To zależy, kto pyta – odpowiedział dość obcesowo nauczyciel.

Przez chwilę oboje mierzyli się wzrokiem. Widać było, że policjantka walczy ze sobą, żeby nie pałać jakiegoś głupstwa, za które potem przełożeni zmyją jej głowę. Po zaciśniętych ustach widać było, że najchętniej przyłożyłaby staremu przykowi.

„Nisko skanalizowana”, pomyślał Potajallo, przyglądając się policjantce. „Ma nisko zawieszony środek ciężkości. Jest pewnie szybka, zwrotna i wredna. Gdyby nie świadkowie, pewnie psiknęłaby mi gazem i poprawiła pałą. Takie kobiece ZOMO. Signum temporis XXI wieku”.

– Sierżant Fijałkowska – przerwała milczenie policjantka. – A pan, przedstawi mi się czy będę musiała poprosić o wylegitymowanie się?

– Henryk Potajallo. Uczę tutaj biologii. Co się stało, Alinko? – ponownie zwrócił się do koleżanki.

– Fabisiak z siódmej c rano na przerwie poszarpał się z Urbańczykiem i na koniec rozbił mu nos i podbił oko.

– I to jest powód, żeby tą sprawą zajmowała się policja? – Potajallo z niedowierzaniem pokiwał głową.

– To, samo w sobie, nie jest powodem – wtrąciła się do rozmowy Karolina Witczak, nauczycielka matematyki – powodem jest to, że matka Urbańczyka jest siostrą komendanta posterunku w naszej dzielnicy.

– Proszę nie wprowadzać zamieszania. Wezwał nas tutaj dyrektor państwa szkoły – wyburczała nisko skanalizowana.

– Bo zadzwonił do niego wasz szef i powołał się na znajomości w kuratorium. Prawdziwy łańcuszek ludzi dobrej woli, nie ma co – Kobylańska skrzywiła się, dając do zrozumienia, co sądzi o takim sposobie załatwiania sprawy.

Henryk postanowił przyjść w sukurs koleżankom.

– Czy Fabisiak został już aresztowany? – zwrócił się do sierżant Fijałkowskiej. – A może warto by było odizolować albo zawiesić w prawach ucznia całą klasę? Skoro jako kolektyw klasowy tolerowali przemoc kolegi wobec innego kolegi, to znaczy, że są aspołeczni, nieodpowiedzialni i w dodatku źle wychowani. Stąd już tylko krok do faszyzacji i bandytyzmu. Ma pani trzydzieści par kajdanek? Chętnie pomogę. Bo wie pani, ja jeszcze nigdy nikogo nie skuwałem kajdankami –

biolog mrugnął okiem do matematyczki, która w odpowiedzi nieznacznie się uśmiechnęła. – Pokażmy smarkaczom, gdzie raki zimują!

– Gdy tego słucham – odezwała się druga z przedstawicielek sił policyjnych – przestaję się dziwić, że w tej szkole dochodzi do przemocy między uczniami. Skoro taki przykład dają im nauczyciele.

– Co pani ma na myśli? Proszę uprzejmie sprecyzować swoje zarzuty – Henryk w jednej chwili stał się całkiem poważny.

– Najchętniej zamietlibyście sprawę pod dywan, co? Podbił koledze oko, no i cóż, co takiego się stało? – druga z policjantek przedrzeźniając, udawała ciało pedagogiczne. – Po co robić hałas o tak błahą sprawę? Szkoła straci dobre imię, prawda?

– Nie, szanowna pani. Gdybyście nam nie marnowali czasu, przeprowadzilibyśmy rozmowę z oboma chłopcami, starając się zrozumieć, co było przyczyną całej awantury. Jeżeli okazałoby się, że w sprawę trzeba włączyć także rodziców, to wezwalibyśmy ich do szkoły, a potem...

– Zdaje mi się, że w szkole obowiązuje regulamin i ten regulamin został złamany w sposób zuchwały – Fijałkowska przerwała Henrykowi – a państwo tymczasem wykonujecie tu jakieś pozorowane ruchy.

– Pozorowane, powiada pani. No cóż. To jest szkoła, a nie jednostka policji, szkółka policyjna

w Szczytnie ani tym bardziej obóz koncentracyjny. Poza przepisami i regulaminami mamy także procesy wychowawcze, będące dorobkiem kilkuset lat doświadczeń pedagogicznych, w tym naukowych. To są dzieci, a nie recydywiści. To są dojrzewający młodzi ludzie, którym umysły i systemy wartości dopiero kształtujemy. A pani tu sobie przyjeżdża w ramach nepotyzmu, ewidentnie nagranej sprawy i zachowuje się niczym prokurator Wyszynski, stawiając zarzuty bez żadnych dowodów.

– Wypraszam sobie takie uwagi, ja sobie nie życzę! I dla pana wiadomości: nie znam żadnego prokuratora Wyszynskiego, więc niech pan sobie daruje! – krzyknęła nisko skanalizowana.

– Mam w dupie to, co pani sobie życzy, a czego nie – parsknął biolog. – I dla pani wiadomości: prokurator Wyszynski nie żyje od jakichś siedemdziesięciu lat. Ale może pani pojechać do Moskwy, odwiedzić tamtejszą aleję zasłużonych i zapalić świeczkę na jego grobie. Stamtąd już niedaleko będzie pani miała do grobu Feliksa Dzierżyńskiego, patrona wszystkich nadgorliwych milicjantów.

Fijałkowska prawidłowo skojarzyła nazwisko Dzierżyńskiego i zrozumiała, że zrobiła z siebie idiotkę. Pozostało jej już tylko trzymać fason po linii służbowej. Wstała i popatrzyła na młodszą koleżankę:

– Wanda, idziemy, szkoda naszego czasu.

– Nie zatrzymujemy pań. W tym mieście jest ponad osiemdziesiąt szkół podstawowych. W każdej pewnie codziennie dochodzi do jakiejś bijatyki, ktoś komuś rozkwasi nos i zawsze się znajdzie jakaś mamusia, która zna kogoś, kto zna kogoś wysoko postawionego. Będą panie miały pracy na kilka lat.

– My jeszcze nie skończyłyśmy. Nie zostawimy tak tej sprawy.

– Droga pani. Zostały mi cztery lata do emerytury. Sądzi pani, że się przestraszę tych niewyszukanych gróźb? Niech pani sobie w domu weźmie coś na prze-rośnięte ego, bo ono nie mieści się już w tym mundu-rze.

Tą niegrzeczną aluzją do korpulentnej budowy po-licjantki Potajallo zrobił sobie śmiertelnego wroga.

Gdy zamknęły się drzwi, koleżanki wsiadły na bio-loga.

– No, trochę Heniu przeholowałeś. Te cipy gotowe teraz zrobić awanturę Jurkowi. Jak pójda z tym do mia-sta i kuratorium, to Jurek może pożegnać się ze stano-wiskiem dyrektora. Przesadzileś – pierwsza odezwała się milcząca dotąd polonistka, Agata Babiarcz.

– Nic mu nie zrobią. W razie czego zwali wszystko na mnie, jest kryty. Może mi udzielić upomnienia albo nagany z wpisem do akt. Mnie to zwisa. Na waszym miejscu raczej martwiłbym się o uczniów. Radiowóz pod szkołą to sygnał dla ścierwojadów. Zaraz zlecą się

sępy. A dzieciaki dla chwili sławy w jakiejś gównianej stacji telewizyjnej, będą opowiadać niestworzone rzeczy o tych dwóch awanturnikach, za co potem zapłacą w Internecie. Niechcianą sławą okryją się nie tylko nasi dwaj bohaterowie, ale też i plotkarze oraz donosiciele.

– Dzisiaj mówi się sygnaliści – smutno uśmiechnęła się matematyczka.

– Sygnaliści, jasne. Wychowujemy całe pokolenie Pawlików Morozowów, którym dorośli mieszają we łbach, żeby donosili na kogo popadnie. Na tego, bo powiedział coś o LGBTQ, tego, bo twierdzi, że nie ma katastrofy klimatycznej, tego, bo się nie zaszczepił, a tamtego, bo nie podobają mu się imigranci. Tego nawet za komuny nie było. Nawet te durne komuchy wiedziały, że istnieje granica, której nie wolno przekroczyć. Że nie można młodemu pokoleniu wszczepiać do łbów ideologicznych bredni, które spowodują, że będziemy mieli psychicznie przetrącone całe pokolenie. Owszem, komuchy wychowały pokolenie stalinowskich ciotek rewolucji, którym dzisiaj, na starość, ewidentnie odbiło. Ale dopiero na starość. Faszzerowali czerwonych harcerzy bredniami Makarenki, ale potem, z każdym rokiem odpuszczali sobie, a przede wszystkim dzieciom. A dzisiaj? Zamiast przygotować dzieciaki do dorosłego życia jako ludzi odpowiedzialnych za siebie i innych, tworzymy wokół nich szklany balon paranaukowych

bredni i wmawiamy im, że mają do wszystkiego prawo, zanim tak naprawdę biologa określi, kim mogą być.

– Heniu, nie zaczynaj – ostrzegła go Babiarz.

– Nie zamierzam. Pozostawiam to tradycyjnie waszym sumieniom. Tym takim starym i niemodnym głosem w waszych głowach.

Gdy koleżanki wyszły, Potajallo zaparzył sobie herbatę. Mimo że w pokoju była dostępna herbata ekspresowa, kupowana ze zrzutki nauczycieli, Henryk pił własną herbatę, czarną, angielską. Też była w torebkach, ale zdaniem biologa zostawiała wszystkie dostępne na polskim rynku herbaty w przedbiegach, także te sypane. Zaopatrywał się w większą partię czaju na jednym z portali internetowych. Kilka razy częstował koleżanki, ale one nie były uprzejme pochwalić jej walorów smakowych, co tylko utwierdziło go w przekonaniu, że jego koleżanki to inne pokolenie i nie ma właściwie o czym z nimi gadać.

Siedząc nad herbatą, zaparzoną tak, jak lubił, w szklance, bo wówczas mógł podziwiać jej ciemnobursztynowy kolor, po raz drugi tego samego dnia zadał sobie pytanie: Co poszło nie tak?

Gdy był dzieciakiem, w wieku tych pyrdków, dla których teraz był panem nauczycielem, tłukł się niemal codziennie z kolegami. Rozbity nos, poharatane kolana, skręcona kostka, rozerwane spodnie. Wtedy to był dzień powszedni każdego ucznia. Niecodziennie

oczywiście brało się udział w bójce, ale takie rzeczy przydarzały się niemal każdemu. Wszystkie kłótnie i awantury załatwiano się na podwórku. Kto biegł na skargę do starych, na jakiś czas wypadał z gry jako lalusz. Można było wyjątkowo poprosić o interwencję starszego brata lub kolegę, gdy przeciwników było trzech, czterech na jednego. Najczęściej jednak wszystkie potyczki z kolegami rozstrzygało się samodzielnie. To była oznaka dorosłości.

Nie wszyscy załatwiali te sprawy honorowo: do pierwszej krwi. Niektórzy, żeby uniknąć bójki, przekupywali swoich przeciwników. Byli i tacy, którzy mamili rywala, zdradzając mu, że: „ja, to co prawda mówiłem o tobie źle, ale ten Kowalski z drugiej ławki, to mówił takie rzeczy o tobie, że strach!”. Takich przypadków było jednak niewiele, a większość z tych cykorów zasila dzisiaj różne partie polityczne.

Rodzice, podwórko, szkoła, niekiedy lekcje religii. To były wierzchołki pola, po którym wolno było się poruszać smarkaczom. Dorośli-rodzice wkraczali do akcji tylko w sytuacji, gdy syn przychodził do domu notorycznie poturbowany, przestał się uczyć, wagarował, palił fajki, pił. Co gorsza, tandem nauczyciel-rodzic zawsze działał w zмовie. Było nie do pomyslenia, żeby na wywiadówce któryś z rodziców zmywał nauczycielce głowę, że jest niesprawiedliwa wobec jej Brajanka. Potajallo pamiętał, że nawet rodzice dobrze ustosun-

kowanych chuliganów byli oszczędni w wykorzystywaniu swoich znajomości i raczej przenosili trudną pociechę ze szkoły do szkoły. A jeżeli już mieli pretensje do nauczyciela, to sprawę załatwiali po cichu, a nie w świetle jupiterów. Sprzyjała temu oczywiście sytuacja polityczna, w której partii – przewodniczące narodowi, zależało, żeby o tak zwanych trudnych przypadkach nie pisała prasa i w ogóle, żeby traktowano je jako nieistotny margines.

Po 1989 roku zmienił się nie tylko ustrój, ale też zmieniły się stosunki międzyludzkie. Wraz z powiewem wolności nowe zawitało też do szkół. Wychowanie, które jak Henryk tylko sięgał swoją pamięcią i znał z opowiadań rodziców i dziadków, zawsze polegało na stawianiu młodym ograniczeń i wyzwań, stopniowo odsyłano do lamusa. To, że kary cielesne przestały być narzędziem wychowawczym, zwłaszcza w domach, Potajallo uznał za oczywisty przejaw rozumowego podejścia do kształtowania postaw dzieci i młodzieży. Aczkolwiek, mając przez lata do czynienia z różnymi, jak mu się wydawało, przypadkami nie do naprawienia, miał czasem ochotę warunkować niektórych typków, tak jak robił to Pawłow ze swoimi psami. To, że feminizacja zawodu nauczyciela postępowała, stopniowo wypierając mężczyzn, uznał za przejaw znaku czasu, ale nie oceniał tego zjawiska negatywnie. Był przekonany, że kobiety są lepiej biologicznie predystynowane do ról

wychowawczych, zwłaszcza dla młodszych uczniów, wykazując się, w porównaniu do mężczyzn, mniejszą skłonnością do wprowadzania koszarowego drylu w szkole.

Problemem, widocznym jeszcze przed upadkiem komuny, była finansowa deprecjacja zawodu nauczyciela, która, powiązana z obowiązkami nauczycielek jako żon i matek, stopniowo prowadziła do upadku etosu „siłaczek”. Jak to wielokrotnie bywało, znowu okazało się, że teoria sobie, a praktyka bezlitośnie weryfikuje wszystkie jej założenia i hipotezy. Inżynierowie społeczni i teoretycy pedagogiki nie byli uprzejmi zauważyć, że słabą stroną ich pomysłów jest człowiek, który nie chce się dać urobić do konsystencji przewidzianej w teorii i w różnych przepisach, regulaminach i nakazach, stojących na straży wdrażania różnych ideologii. „Nasza teoria była słuszna, tylko ludzie do niej nie dorosli.” Wcześniej Lenin, Stalin, Hitler i Mao, a teraz inne pomniejsze kreatury jak Schwab czy Gates, opętani swoimi wizjami człowieka szczęśliwego, znowu gotują ludzkości piekło na ziemi. Wtórują im ci, którzy zawsze dążyli do przesuwania granic norm społecznych i zasad moralnych, niektórych niezmiennych od setek lat. Pod pretekstem zapewniania wszystkim równych praw, realizują swoje chore wizje społeczne.

Krytyczne teorie płci, rasy, aborcja, eutanazja to ideowy dorobek XXI wieku. I znowu intelektualści

kurwią się całymi zastępami, legitymizując belkot ideologów swoimi paranaukowymi wywodami i publikacjami. Politycy i dziennikarze na Zachodzie, mimo oficjalnych deklaracji, że chcą ziemię zostawić przyszłym pokoleniom, zachowują się tak, jakby jutra jednak miało nie być. „Po nas choćby potop”. „A Polacy”, mówił do siebie w myślach Potajallo, „są jak tonący, któremu na chwilę udało się wynurzyć na powierzchnię i zaczerpnąć świeżego powietrza, po czym znowu pogrążyli się w otchłani, bo ci, którzy wydawali się ich ratować, też utracili zdrowy rozsądek i zamiast do brzegu, popłynęli na środek oceanicznej kipieli”.

Dzisiaj szkoły stąpają po cienkim lodzie. Jak się zarwie, to utoną wszyscy, bez wyjątku. „To zrozumiałe”, ważył różne racje Henryk, „że każde kolejne pokolenie rodziców próbuje swoim dzieciom dać to, czego sami nie mieli. Można jednak odnieść wrażenie, że od pewnego poziomu dobrobytu ludzie zaczynają tracić instynkt samozachowawczy. Zamiast kierować się rozumem, a także intuicją, w którą wyposażyła nas biologia i która umożliwiła ludziom najpierw przetrwanie, a potem wyprzedzenie innych gatunków o kilkadziesiąt długości, my, unoszeni pychą, wnosimy na ołtarze różne pokraki intelektualne i moralne, mające nas rajem już teraz, tu na ziemi. Zachód, zamiast dopieszczać demokrację, ogłosił koniec historii. Że niby już nic lepszego nie da się zrobić, poprawić. A skoro tak, to czemu by

jednak nie spróbować znowu zbudować nowoczesnego człowieka, na początek zaprzeczając elementarnym prawom biologii? Aż do dzisiaj nie było w historii ludzkości takiego rozdziału, w którym krzywdzenie dzieci uzyskaloby status teorii naukowych. Żadni handlarze niewolnikami, tureccy janczarzy, nazistowscy bonzowie, pojedynczy lub zbiorowi gwałciciele dzieci nigdy nie poważyliby się podbudowywać swoich bezczeństw nauką, bo zostaliby najpierw wyśmiani, a potem zlinczowani. Dzisiaj duet złożony z niektórych psychoterapeutów i chirurgów plastycznych, ku ucieście politycznych i medialnych zbrojeńców, robi kokosy na operacjach zmiany płci. Bo w końcu człowiek ma prawo zrobić ze swoim ciałem, co mu się podoba. Nawet, kurwa, jak ma dwanaście lat”.

W tym intelektualnym burdelu rodzice kompletnie zatracili poczucie tego, co jest dobre dla ich dzieci. Podają się bezmyślnie zalewowi informacji, myśląc, że jak będą robić wszystko pod dyktando mediów i domorosłych ekspertów z Internetu, to zapewnią swoim pociechom bezpieczeństwo i pewną przyszłość. „Kultura sejfizmu”. Henryk nie mógł sobie przypomnieć, gdzie wyczytał to pojęcie, ale pamiętał, że jego autorzy słusznie zauważali, że dzisiaj niewielki emocjonalny dyskomfort w sytych społeczeństwach zaczyna odgrywać taką samą rolę, jak kiedyś fizyczne zagrożenie dla życia, zdrowia i bezpieczeństwa. Co gorsza, ludzie za uludę

poprawy komfortu psychicznego są skłonni oddać się w jasyr różnym sprzedawcom maści na szczury, którzy wmówili im, że dysponują cudownym lekiem na wszelkie dolegliwości i zagrożenia. I w poczuciu takiego pozornego bezpieczeństwa wychowują swoje dzieci. W rezultacie coraz więcej dzieciaków jest przekonanych, że powinny być chronione nie tylko przed bandytami, wypadkami samochodowymi, wykorzystaniem seksualnym, ale także przed tymi, którzy mają inne zdanie. Kruchość psychiczna kolejnego pokolenia objawia się potem w internetowych wpisach, w których młodzi ludzie, studenci żalą się, że na wykładzie cierpią, bo muszą wysłuchiwać opinii i idei, które są sprzeczne z ich własnym światopoglądem.

„Coś mi się zdaje”, biolog konkludował swoje przemyślenia, „że ludzkość co jakiś czas jest skazana na upuszczanie zlej krwi. Zupełnie jak w Ojcu Chrzestnym. Nasz gatunek, gdy nie jest poddawany wzajemnemu wyrzynaniu się, hekatombie, jak ta z ostatniej wojny, dziczeje i zupełnie zatracza poczucie, że pewnych granic przekroczyć mu nie wolno”.

Z takimi niewesołymi myślami zastał biologa siedzącego w pokoju dyrektor szkoły.

– Coś ty nawywijał, Heniu? Policjantki wparowały do mojego gabinetu i wrzeszczą, jedna przez drugą, że zostały tu obrażone i że utrudniasz śledztwo – dyrektor nie krył, że jest zły na swojego kolegę.

– Jurku, one tu nie prowadziły żadnego śledztwa, tylko szukały kozła ofiarnego. Nie będę ukrywał, że tę niską potraktowałem mało elegancko, ale po pierwsze, ona sobie na to zasłużyła, a po drugie, nie pozostała mi dłużna. Nie wierzysz, to posłuchaj.

Henryk wyciągnął smartfona z kieszeni.

– Nie może być. Nagrałeś tę rozmowę?

– Zawsze to robię, gdy widzę mundurowych. Baba, chłop, bez znaczenia. Posłuchaj.

Potajallo odtworzył przebieg dyskusji w pokoju nauczycielskim. Dyrektor tylko pokiwał głową.

– Dobra, dzwonię do ich szefa i powiem, że sprawdziłem, i że nic z tego, co mi opowiadały, nie miało miejsca, więc niech się zajmą lepiej ściganiem przestępców, niekoniecznie tych bez масечек na twarzy.

Była to aluzja do nadgorliwości funkcjonariuszy, którzy w okresie pandemii traktowali osoby odmawiające założenia масечек w miejscach publicznych, tak jak bandytów. Takim zachowaniom przyklaskiwały chóralnie media i zaszczepieni internauci, którym jednak zaczęło się robić smutno, kiedy na światło dzienne zaczęły wychodzić kolejne dane o nop-ach⁸.

Mogło wydawać się, że teraz sprawę bójki nauczyciele będą mogli rozwiązać w zgodzie ze swoją wiedzą

⁸ NOP (niepożądany odczyn poszczepienny) – pogorszenie stanu zdrowia (często chwilowe i łagodne), które wystąpi w określonym czasie po szczepieniu.

i doświadczeniem pedagogicznym. Nie dane im jednak było załatwić sprawy w taki sposób. Sierżant Fijałkowska postanowiła upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Dokopać nauczycielowi, który obśmiał ją w szkole i zacieśnić dobre stosunki z mediami, podrzucając im anonimowo, a jakże, informację o aktach bandytyzmu w szkole i próbie ich tuszowania przez dyrektora i nauczycieli.

Następnego dnia pod szkołę zajęchała telewizja i czterech dziennikarzy prasowych. Dyrektor dziennikarzy przyjął w gabinecie i przedstawił im swoją wersję, jednocześnie zabronił kręcenia jakichkolwiek ujęć w szkole i robienia wywiadów z dziećmi. W szkole był panem sytuacji, poza jej murami już nie. Dziennikarka z kamerzystą czekali na uczniów wychodzących ze szkoły za rogiem budynku. Reporterka sądziła, że dzieciaki do kamery przylecą jak ćmy do ognia. Jej wywiad z dziećmi mógł być przykładem typowej dziennikarskiej roboty, w której podkreślało się emocje do maksimum, uzyskując takie odpowiedzi, które dowiodą z góry postawionej tezy.

Redaktorka Kozyra z prywatnej stacji telewizyjnej była mistrzynią w swoim fachu.

– Kręć te dzieciaki – szepnęła do kamerzysty, podchodząc, z wyciągniętą ręką uzbrojoną w mikrofon, do dwójki, na oko czternastoletnich chłopców.

– Podobno w waszej szkole pobiło się dwóch uczniów, a jeden jest w szpitalu na obserwacji.

– Nic jej nie mów – odparował wyższy z chłopców z rudą grzywką. – Dziennikarze to łgarze.

Kozyrę najpierw замуrowało, a gdy odzyskała pion, podreptała za odchodzącą parą.

– Czy dyrektor i nauczyciele zabronili wam z nami rozmawiać?

– Nie, nie nauczyciele – odparł przez ramię chłopak. – Ojciec mi powiedział, że mam się od was trzymać z daleka, bo jesteście oszuści i kurwiarze.

Kompan rudego parsknął śmiechem, a dziennikarka niemal od razu zrobiła się buraczkowa na twarzy.

– No pięknie są wychowani, nie ma co! – fuknęła wściekła. – Kurwa mać, nie kręć mnie teraz, ochujaleś? – opieprzyła kolegę, widząc, że ten ma wciąż skierowaną kamerę na jej twarz.

– Wychowani? Oni? – padło pytanie zza kamery.

– Nie bądź taki mądry, bo będziesz sobie musiał poszukać roboty przy kręceniu pornoli – odgryzła się gwiazda prywatnej telewizji.

– Spróbujemy z tą czwórką – pokazała mikrofonem na zbliżające się dwunasto-, trzynastolatki.

– Dzień dobry. Jestem z telewizji. Czy możecie mi opowiedzieć, co się stało wczoraj w szkole?

– Przyjechała policja – odpowiedziała dziewczynka z włosami zapiętymi w kitkę.

– Jak masz na imię?

– Ania.

– No więc, Aniu, czy możesz nam powiedzieć, co się stało wczoraj w szkole, dlaczego przyjechała policja?

– Ja nie wiem dokładnie, ale podobno jakichś dwóch chłopaków się pobilo.

– A czy często chłopcy biją się w waszej szkole?

– Na przerwach to prawie codziennie. Wie pani, tak na niby; poszturchują się, ganiają, ktoś na kogoś wpadnie, a czasem, ale rzadko, pokłóć się o coś i się pobijają.

– A podobno jeden z waszych pobitych kolegów leży w szpitalu.

– To nie był nasz kolega. On był z innej klasy – wzruszyła ramionami przycięta na pazia blondynka. – Więc on jest w szpitalu? Co mu się stało?

– Myślałam, że wy mi powiecie. Nie żał go wam?

– Ale my nic nie wiemy – odpowiedziały chórem dziewczynki.

Dziennikarka pokiwała głową na znak, że wywiad nie idzie po jej myśli. Jeszcze spróbowała dwa razy, ale bez oczekiwanych rezultatów, więc rzuciła do kamerzysty:

– Zwijamy się. Coś mi z tego zmontują.

Informacja o problemach w szkole ukazała się w wieczornych wiadomościach. Prowadząca je w studiu redaktor Pustkowska przedstawiła redakcyjną wersję

wydarzeń. Oto w szkole doszło do bandyckiego napadu jednego ucznia na drugiego, w wyniku którego ciężko pobity uczeń musiał skorzystać z pomocy służby zdrowia (było faktem, że szkolna higienistka zatamowała uczniowi wacikiem krew z rozbitego nosa). Szkoła odmawia komentarza (wmontowano ujęcie zamkniętych drzwi, które kamerzysta nakręcił po ponad dziesięciominutowym wywiadzie, jaki dyrektor udzielił dziennikarzom).

Gdy następnego dnia dyrektor zaprotestował i złożył zażalenie na opublikowany materiał, twierdząc, że przecież udzielił wywiadu, stacja wymigała się od odpowiedzialności, cytując słowa dziennikarki prowadzącej, która przecież stwierdziła, że nie dyrektor odmówił komentarza, tylko szkoła.

Potem pokazano Kozyrę zadającą pytanie czterem dziewczynkom. Dialog był następujący:

- A czy często chłopcy biją się w waszej szkole?
- Codziennie.
- Nie żal go wam?
- To nie był nasz kolega. On był z innej klasy.

Na koniec Kozyra, stojąc przed budynkiem szkoły, powiedziała do mikrofonu, że stacja już od dłuższego czasu otrzymuje sygnały od rodziców na występujące problemy wychowawcze, w tym szerzącą się przemoc wśród uczniów. Zwieńczeniem ujęcia była przebitka

dwóch uczniów odchodzących z pola widzenia kamery i głos jednego z nich:

– Łgarze. Oszuści i kurwiarze.

Dyrektor i nauczyciele próbowali odkręcić cały ten balagan, ale cała sprawa zaczęła żyć własnym życiem. Biurokraci w kuratorium, poustawiani na stanowiskach z ramienia partii rządzącej w mieście, po telefonach prezydenta miasta wezwali Jerzego do siebie na dywanik. Rada Rodziców zwołała pilne zebranie w szkole, oczekując obecności dyrektora. Jego kariera zawisła właśnie na włosku, a właściwie na druciku od mikrofonu redaktor Kozyry.

Dzieci, które pojawiły się w reportażu, stały się przedmiotem tego, co tak bezkrytycznie określa się mianem hejtu. Kilku uczniów ze szkoły, nie wiedząc, jak przebiegała rozmowa ich kolegów i koleżanek z dziennikarką, rzeczywiście zjechało w sieci uczestników reportażu. Na szczęście dzieciakom szybko minęła chęć do komentowania sprawy w Internecie i tylko Anię, jej matka po przeczytaniu komentarzy, wysłała zapobiegawczo do psychologa.

Henryk, nieświadomy zamieszania, jakie spowodowała jego niewyparzona gęba, wchodził właśnie na zebranie z rodzicami w sprawie wycieczki do Poznania dla uczniów jednej z klas licealnych.

Rodzice podzielili się na tych, którzy chcieli odbębnić spotkanie i czmychnąć czym prędzej do swoich

zająć, oraz na tych, którzy mieli ochotę zorganizować wycieczkę według swojego widzimisię. Ci pierwsi byli w zdecydowanej większości, ci drudzy byli bardziej zdezorientowani.

– Dlaczego wybrano wagony drugiej klasy? – zapytała farbowana na czarno, mocno opalona matka Bogdana Słomczyńskiego, ucznia, który lubił sprawiać kłopoty.

– Już mówiłem. Uczniowie, biorąc pod uwagę zróżnicowane możliwości finansowe, zdecydowali w głosowaniu, że pojadą w wagonie drugiej klasy. Jedziemy pociągiem Intercity, a tam druga klasa jest na przyzwoitym poziomie.

– Ale dlaczego ci, którzy chcieli jechać pierwszą klasą, nie mogą jechać tak, jak chcą? Przecież część klasy mogłaby pojechać pierwszą, a część drugą klasą. Jedzie i tak dwóch nauczycieli, więc jeden mógłby pojechać z jedną grupą, a drugi z drugą – nie ustępowała Słomczyńska.

– Wie pani, to świetny pomysł. Że też o tym nie pomyślałem – Potajalło pacnął się ręką w czoło.

– No widzi pan. Wystarczyło pomyśleć – kobieta triumfująco obróciła głowę, patrząc na innych rodziców.

– Właśnie naprawiam ten błąd i myślę, że twórczo rozwinę pani pomysł. Zatrzymamy się w hotelu II kategorii, ale dla pani syna i jego bogatszych kolegów

jestem gotów zabukować pokoje w Sheratonie. Może być apartament? Drugiego dnia mamy wycieczkę do Cytadeli poznańskiej, ale gdyby pani syn miał ochotę w tym czasie pójść do aquaparku, to oczywiście będzie to mógł zrobić, nawet gdyby chciał tam iść sam. W końcu jedzie dwóch nauczycieli. Wieczorem idziemy do teatru, ale Boguś będzie mógł sobie pójść do kina. Może być tylko pewien problem, gdy się okaże, że każdy z uczniów będzie chciał robić dokładnie coś innego niż pozostali. Wtedy będziemy musieli zabrać na wycieczkę dwudziestu ośmiu nauczycieli.

Chichot większości rodziców dał Słomczyńskiej do zrozumienia, że nauczyciel ciągnie z niej lacha.

– Nie rozumiem, co państwa tak bawi – odezwał się ojciec kolejnej pociechy. – Pani Adrianna ma prawo się troszczyć o swojego syna. Ja na przykład chciałbym wiedzieć, co pan zamierza zrobić, żeby mieć pewność, że chłopcy nie będą spędzać wieczorów w pokojach dziewcząt?

„Sam położę się do nich do łóżka”, miał ochotę odpowiedzieć Henryk.

Głośnie jednak zapytał:

– A czego się pan spodziewa? Że postawię wartę przy drzwiach pana córki?

– To pan powinien wiedzieć, co należy zrobić w takiej sytuacji. W końcu jest pan nauczycielem.

– Proszę pana – zaczął ostrożnie Potajallo. – Pana córka ma siedemnaście lat. Przypuszczam, że zdążył już pan porozmawiać z nią o tym, że to nie bocian przynosi dzieci i że nie znajduje się ich w kapuscie. Jeżeli z jakiegoś powodu pan tego nie zrobił, to ja zaręczam pana, że przerabialiśmy już stosowny materiał na lekcjach biologii.

– Pan wie, że nie o tym mówię – warknął tatuś córki.

– A o czym? Bo odnoszę wrażenie, że usiłuje pan zrzucić na mnie ciężar ojcowskiej odpowiedzialności za własne dziecko. Ja, gdy powiedziałem swojej córce, że ma wracać do domu z imprezy o godzinie dwudziestej drugiej, to o tej godzinie była w domu. My, szanowny panie, w szkole uczymy i wychowujemy dzieci, a nie rodziców.

– Ja sobie wypraszam! – wybuchnął ojciec.

– Już gdzieś to słyszałem. Chyba wczoraj. – Nauczyciel popatrzył uważnie na ojca. – Przepraszam, czy pan jest ojcem Malwiny, Malwiny Fijałkowskiej?

– Tak, bo co?

– A nie, nic. Tak tylko pytałem, dla porządku. Wracając do sprawy. Proponuję, żeby pan ze swojej strony przeprowadził z córką rozmowę, a ja uczniom i uczennicom zakomunikuję, że o dziesiątej każdy ma być w swoim pokoju.

– To nie wystarczy – upierał się Fijałkowski.

– To może pan pojechać na trzeciego opiekuna w charakterze przyzwoitki dla swojej córki – Henryk stracił cierpliwość.

– To jest chamstwo! Ja tego tak nie zostawię! – ryknął Fijałkowski i ruszył do drzwi.

– Proszę pozdrowić małżonkę – wyrwało się nauczycielowi, zanim zdążył się ugryźć w język za to dwuznaczne zdanie.

– Poczekaj Kazik, idę z tobą – Słomczyńska podążyła za znajomym.

W tej samej chwili w kieszeni któregoś z rodziców rozległa się muzyczka z dzwoniącego telefonu.

„Fragile”, Henryk rozpoznał utwór Stinga już po pierwszych trzech dźwiękach.

Sklep

– Dzień dobry szanownemu panu, czym mogę służyć?

Za ladą stał wiekowy sprzedawca z resztkami siwych włosów za skroniami. Z wiekiem goła skóra znad czoła coraz bardziej przesuwiała mu się na tył czaszki, spotykając się w końcu pewnego roku z łysiną, której jądro zlokalizowane było na czubku głowy. Typowy objaw łysienia androgenowego. Facet, ubrany w granatowy fartuch, jaki dawniej zdobył urzędników archiwum lub właścicieli antykwariatów, spojrzal na klienta znad opuszczonych okularów i równocześnie lekko zmarszczył czoło.

– Dzień dobry, chciałbym kupić autorytet.

Klient był osobnikiem doskonale bezbarwnym. Można go było spotykać codziennie na chodniku, stać obok niego w tramwaju, mijać w pasażu sklepowym i mieć pewność, że nie rozpozna się w nim osoby, którą widziało się wczoraj, przedwczoraj, tydzień lub miesiąc wcześniej. Był jak element zrobiony na sztancy. Ot, jeden z milionów ludzi, którzy uważają, że życie należy

przeżyć, płynąc zgodnie z nurtem wyznaczanym przez modę na: ubiór, poglądy i zachowania.

Mężczyzna stojący za ladą uśmiechnął się krzywo, pokiwał głową i zwrócił się do bezbarwnego:

– To oczywiste, biorąc pod uwagę asortyment, w którym specjalizuje się nasz sklep. Musi mi pan jednak udzielić kilku dodatkowych informacji. Z jakiej dziedziny poszukuje pan autorytetu? Ale – tu sprzedawca podrapał się po łysinie – może zacznijmy od tego. Czym pan się zajmuje? Jest pan politykiem czy dziennikarzem? Czy autorytet jest panu potrzebny do sprawowania funkcji urzędniczych, czy po prostu chce go pan, pardon, wykorzystywać w celach czysto prywatnych?

– Wie pan – klient nerwowo zamrugał oczami i niepewnie rozejrział się dokoła siebie, jakby szukał kamer i mikrofonów – wolalbym pozostać anonimowy.

– Rozumiem. W takim razie przedstawię panu kolekcję najczęściej wybieranych, że się tak wyrażę, najmodniejszych autorytetów z ostatnich lat.

– O, świetny pomysł, tylko wie pan, chciałbym, żeby był to autorytet niepodważalny.

– W jakim znaczeniu: naukowym, jego pozycji społecznej czy w kontekście medialnym?

– W każdym – bez namysłu odparł bezbarwny.

– To będzie trudne – łysawy tym razem podrapał się w czoło, usiłując sobie przypomnieć, czy w ogóle

taki towar posiada w magazynie. – Mam kilka takich egzemplarzy, ale nikt z nich od lat nie korzystał. Wie pan, nie ma obecnie popytu na takich osobników, a poza tym wraz ze wzrostem niepodważalności wzrasta jego cena, że tak to ujmę, wykładniczo. Są to bowiem osobnicy trudni w użytkowaniu, obstający przy swoich poglądach, domagający się falsyfikowania hipotez... no, żeby pana nie zanudzić, mało elastyczni we współpracy.

– Ja właśnie potrzebuję elastycznego i takiego, który będzie znał swoje miejsce w szeregu.

– Już rozumiem, czyli autorytet typowy. Mogę panu zaproponować modele wielofunkcyjne.

– To znaczy? – Klient spojrzał nieufnie na sprzedawcę, obawiając się, że może stać się ofiarą jakiejś tandetnej pseudopromocji.

– Mamy autorytety interdyscyplinarne. Przykładowo – łysawy sięgnął po teczkę z półki, rozwiązał taśmkę zabezpieczającą i wyciągnął zdjęcie. – Proszę, to doktor K. Wypowiada się autorytatywnie – sprzedawca sięgnął po zadrukowaną kartkę z teczki – na tematy dotyczące medycyny, polityki międzynarodowej, wojskowości, hydrologii...

– E, nie! Dziękuję. Wolę kogoś bardziej monote matycznego.

– Proszę się jeszcze zastanowić. Doktor K. ma duże wzięcie, jest częstym gościem w stacjach

telewizyjnych, radiowych, zapraszają go do podcastów i od czasu do czasu pisze jakiś felieton.

– A jaki ma dorobek naukowy?

– Niezbędny do bycia autorytetem. Posiada stopień doktora.

– W jakiej dyscyplinie?

– Proszę pana! – Sprzedawca mimowolnie podniósł głos. – Pan szuka pracownika do laboratorium czy autorytetu?

– No dobrze – klient zwiesił głowę – wobec tego, co może mi pan zaproponować?

– Proponuję panu autorytet w sprawach klimatu. Jest z wykształcenia prawnikiem...

– Prawnik specjalizujący się w kwestiach klimatu?

– Proszę mi nie przerywać – obruszył się lysol – bo tak do niczego nie dojdziemy.

– Przepraszam – natychmiast poprawił się klient.

– No więc nasz autorytet klimatyczny jest prawnikiem, co tylko z pozoru nie ma sensu. Gdy jednak przeanalizuje pan działania Komisji Europejskiej w tej kwestii, to szybko dojdzie pan do wniosku, że o kwestiach klimatu, natężenia jego zmian i antropologicznym wpływie na te zmiany przesądzają nie tyle specjaliści do spraw klimatu: fizycy atmosfery ziemskiej, astronomowie, astrofizycy, geolodzy, hydrologowie et consortes, ale właśnie prawnicy. Jeżeli Komisja Europejska w swoich rozporządzeniach zapisała, że klimat się zmienia, to

znaczy, że się zmienia. Wie pan – sprzedawca spojrzał wymownie na stojącego przed nim mężczyznę – na początku było SŁOWO. Księga Rodzaju. Podstawa wiary. I od tego czasu nic się nie zmieniło. Potęga słowa. Skoro komisja zapisała w swoich dokumentach, że człowiek zmienił klimat, to znaczy, że tak się stało. I zamiast prowadzić jałowe badania, należy po prostu przyjąć to jako fakt. Wierzę nauce, rozumie pan? Zresztą najlepszym dowodem na to, że klimat się zmienia, jest to, że w Unii Europejskiej przeznaczają się biliony euro na działania zmniejszające wpływ człowieka na klimat. Przecież gdyby tych zmian nie było, to nie wydawano by takich pieniędzy. Zgodzi się pan ze mną?

Bezbarwny już miał na końcu języka pytanie: Ale co będzie, jeżeli się okaże, że te zmiany wcale nie zależą od działalności człowieka? Przecież te pieniądze tak naprawdę obciążają każdego podatnika w Unii. W porę jednak ugryzł się w język. Siła argumentów była przecież przytłaczająca.

– Tu mamy kolejny autorytet, a właściwie rzecz biorąc, autorytetkę, jeżeli będziemy się trzymać dzisiejszych zasad odmiany przez osoby. Ta kobieta – łysawy sięgnął po kolejne zdjęcie z innej teczki – jest autorytetką w sprawach imigracji i bezpieczeństwa wewnętrznego.

– Jest też prawnikiem... o, pardon, prawniczką?

– Nie, jest aktorką. Tak między nami mówiąc – sprzedawca nachylił się w stronę klienta, ścisząc głos – bardzo przeciętną. Sam pan widzi. Wygląda jak chodząca kupka nieszczęścia, taki biedny zdechłaczek. Aktorka charakterystyczna, nadająca się, moim zdaniem, wyłącznie do ról skrzywdzonych, dręczonych kobiet albo jako modelka dla malarzy malujących alegorię smutku, depresji i takich tam. A tu tymczasem, proszę, nasza autorytetka przebiera w rolach i wybrzydza. Obsadzają ją nawet w kasowych komediach.

– Ją? Z tym wyrazem twarzy przypominającym smutnego retrievera?

– A widzi pan. Autorytety mają to do siebie, że jak już ktoś uznany zostanie za autorytet, to staje się nim w dowolnej dziedzinie. W jej wypadku oznacza to, że biją się o nią reżyserzy, zwłaszcza ci nowocześni, dla których tradycyjna sztuka teatralna jest już tylko przebrzmiałym echem minionych epok. Wracając do naszej gwiazdy, specjalizuje się także w równouprawnieniu, gender, a ostatnio coraz częściej jest zapraszana do telewizji śniadaniowej w sprawach zmian klimatu.

– Niezły rozrzut. Kobieta renesansu.

– Tu ma pan doktora L. – sprzedawca wyciągnął następne zdjęcie.

– Po fartuchu wnoszę: jest medykiem.

– Tak, i to wziętym, ze specjalizacją pediatria. Od czasu restrykcji pandemicznych ustawiają się do niego kolejki.

– No tak, ale ja chyba nie będę się zajmował tak wąską specjalizacją. Wie pan, dzieci mnie de...

– Znów jest pan w błędzie. Pan doktor w tiwi popularyzował noszenie maseczek i szczepienia mRNA. Jest powszechnie uznawany za autorytet w dziedzinie chorób zakaźnych. Ma to swoje proste wytłumaczenie: to dzieci najczęściej chorują, przynosząc z domu do szkoły i ze szkoły do domu różne choroby. Praktyka, proszę pana, ponad teorię to jego motto. Poza tym, proszę na niego spojrzeć. Ta sympatyczna twarz budząca zaufanie. Z tym miłym uśmiechem wcisnąłby pacjentowi arszenik jako lek na dowolne schorzenie. To się nazywa potęgą wizerunku.

– Fakt, budzi zaufanie – zgodził się bezbarwny, patrząc na zdjęcie – nawet gdy się go nie słyszy.

– Zwłaszcza – sprzedawca poprawił klienta – zwłaszcza, gdy się go nie słyszy.

– Ale przecież autorytet powinien przekonywać, argumentować, namawiać. Musi coś mówić.

Łysawy uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Ten nie musi. Osiągnął już ten stopień wtajemniczenia, że wystarczy, gdy pojawi się jego twarz na ekranie, a ludzie już telepatycznie odgadują, że powinni

wziąć jakiś lek, zaszczepić się, posmarować maścią na szczy...

– Przepraszam, że panu przerwę, ale to trochę naciągane.

– Bo nie chce pan zaufać nauce. Proszę pamiętać, że z autorytetami się nie dyskutuje. Autorytetów należy słuchać. Wracając do naszego doktora, to kolejny ekspert, który ostatnio zajął się sprawami zmian klimatu i jego skutków.

– Coś ich się namnożyło...

– Fakt. Mamy inflację autorytetów w tej dziedzinie. Ale to naturalne zjawisko. Tam, gdzie pojawiają się potrzeby i popyt, pojawia się podaż.

„Pieniądze raczej”, pomyślał klient. „Też słowo na p”.

– Pan doktor – ciągnął dalej sprzedawca – słusznie zwraca uwagę, że ocieplaniu się klimatu w naszej strefie klimatycznej towarzyszyć będzie wzrost liczby chorób typowych dla stref tropikalnych: malarii, cholery, gorączki krwoto...

– Ale przecież szacuje się, że wzrost średniej temperatury nie przekroczy trzech stopni Celsjusza – powątpiewał klient.

– Znowu mi pan przerywa. Sam pan zauważył, że mowa jest o średniej temperaturze. Kto wie, jak zachowa się rozbujany klimat i jakie będą amplitudy. Średnia może się niewiele zmienić, ale w ciągu dnia

możemy mieć pięćdziesiąt stopni, a w nocy minus trzydzieści.

– Ale sam pan przed chwilą powiedział, że naukowcy są w stanie przewidzieć zakres zmian.

– Proszę pana, co powiedziałem, to powiedziałem, ja nie jestem autorytetem, ja tylko pośredniczę.

– No tak, w takim razie może przejdziemy do ceny. Wiele sobie liczą takie autorytety za wspomaganie określonych opinii?

– Tu ma pan – sprzedawca obrócił monitor laptopa w stronę klienta – cennik dla tych trzech, o których była mowa. Upprzedzam, że ta cena nie zawiera naszej prowizji.

Bezbarwny chwilę wodził oczami po ekranie komputera, nieznacznie skrzywił się i kiwnął głową.

– Niewiele sobie liczą. To im się w ogóle opłaca?

– Co ma się nie opłacać? Promując określone poglądy, przede wszystkim promują siebie. Tak to działa. Wzrostowi popularności, jak pan widzi, nie musi towarzyszyć wzrost ceny jednostkowej. Przychody napędza im wzrost podaży.

– A ile wynosi wasza prowizja?

– Trzydzieści procent, no chyba że ma pan u nas założone konto, wtedy osiemnaście.

– To ja bym sobie założył u was konto na hasło. Da się?

– Ale dlaczego się nie da? Się weźmie, się założy,
się sprzeda.

Kłątwa

Kaczmarkowi przelalo się we wtorek po południu. Siedział wtedy w fotelu przed telewizorem, na kolanach miał laptop i przeglądał wpisy na jednym z portali społecznościowych. Nie miał podzielnej uwagi, więc nie słyszał, o czym mówiono w wiadomościach. Wzrokiem wodził po ekranie laptopa, czytając wpisy na kontach użytkowników portalu i niektóre do nich komentarze.

Wojna plemienna trwała i przybierała na sile. Politycy, nie tylko w Polsce, konsekwentnie realizowali jeden program, niezależnie od opcji politycznej. Społeczeństwo należało podzielić i sprawić, żeby ludzie skoczyli sobie do oczu. Takim demosem łatwo się rządzi.

W Polsce ludzie władzy mieli jeszcze w pamięci lata 1980–81, kiedy przeciw władzy wystąpiło ponad dziewięć milionów ludzi. Jeszcze trzydzieści lat wcześniej przy imieninowym stole zasiadali zwolennicy różnych partii i programów politycznych. Kłócili się, sprzeczekali, ale zawsze przy tym pamiętali, że jednak są rodziną, znajomymi, sąsiadami. Poglądy polityczne traktowano wówczas jak element prywatności, coś w rodzaju preferencji seksualnych, do których każdy ma prawo tak

długo, jak długo przestrzega obowiązującego prawa i zasad wzajemnej tolerancji: Ja się nie wpięprzam w twoje życie, ty daj żyć mi po swojemu, nie łam prawa, moja rodzina jest dla mnie świętością, w naszym kręgu kulturowym pewne zachowania uznawane są za niestosowne, jeżeli masz osobliwe upodobania – realizuj je sobie w czterech ścianach swojego domu, nie krzywdząc nikogo. Z kolei na straży zasad miały stać instytucje gwarantujące przestrzeganie reguł demokratycznego wyboru i sprawowania władzy.

Po 1989 roku w kraju był z tym kłopot, bo z reform wyłączono jeden z filarów państwa prawa: wymiar sprawiedliwości. Jeszcze dziesięć lat wcześniej autorytety prawa wskazywały na konieczność reformy organizacyjnej i także personalnej prokuratur i sądów. Gdy do władzy doszła opozycja, autorytetom minął zapal reformatorski i co gorsza, wbrew obowiązującym regułom zaczęły one uprawiać politykę.

Drugi z filarów praworządności – niezależne, wolne i nieocenzurowane media, został zawłaszczony w Polsce i w większości, tak jak wcześniej na Zachodzie, wykupiony przez koncerny medialne. Zasada przyświecająca dziennikarstwu w państwach demokratycznych: każdej władzy patrzymy na ręce niezależnie od naszych prywatnych sympatii politycznych, odeszła w zapomnienie. Najpierw pojawiła się autocenzura, a potem także cenzura. Media zaczęły realizować

politykę swoich właścicieli plawiących się w miliardach dolarów, a ci z kolei obstawiali określonych polityków, żeby sięgnąć po kolejne miliardy z budżetu państwa. Po co narażać się na kaprysy rynku, skoro można sięgnąć po pewną kasę z podatków?

W okresie pandemii media społecznościowe także przekształcono w narzędzia sączenia tłuszczy tylko tych treści, które były zgodne z polityką różnych mi-glanców pociągających za sznurki. Z pierwszego i drugiego szeregu. Pod pretekstem walki z hejtem i Putinem od 2020 roku cenzurowano nie tylko ewidentną psychopatię internetową, ale przede wszystkim naukowców i zwykłych ludzi, którzy zgłaszali odmienne zdanie w sprawach zagrożenia koronawirusem czy wpływu działalności człowieka na zakres zmian klimatycznych. Tak się złożyło, że obie kwestie były oczkiem w głowie dwóch największych rodzin, które od dwustu lat trzymały lejce finansowe Zachodu.

Stefan Kaczmarek coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał. Nie chciał stawać w jednym szeregu z idiotami, którzy z powodów psychicznych lub po prostu dla kasy głosili teorie spiskowe rodem z magla. Jednocześnie trudno mu było odmówić racji tym, którzy mieli odmienne zdanie od tak zwanego mainstreamu, zwłaszcza, że ich dorobek naukowy był nie do podważenia. Poza tym miał jeszcze w pamięci polskie elity intelektualne, które hurtowo kurwiły się w czasach

stalinowskich, i tych nielicznych, którzy jak Kisiel pukali się znacząco w czoło, gdy komuniści dzielnie reformowali niereformowalny ustrój. To, co działo się obecnie z Zachodem, przypominało przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych w Polsce Ludowej, przy czym zgodnie z dewizą Engelsa obecna historia wracała do życia już jako farsa. Sowietci, kiedy zagarnęli Europę Środkową i Wschodnią, zgodnie z rewolucyjnym etosem zgniatali wszelki opór bez litości, po prostu mordując swoich przeciwników. Zachód na razie zamykał im dostęp do opinii publicznej, chociaż w Wielkiej Brytanii, której elity polityczne nie mogły się pozbierać po Brexicie, już zaczęły się aresztowania ludzi doprowadzonych do ostateczności, którzy upust swojej bezradności dawali w Internecie i na ulicach. Kaczmarek czuł z tymi ludźmi więź duchową i ideową.

W chwili kiedy czytał wpis dziennikarki, która podobnie jak kilku znanych polityków przeflancowała się z grupy działaczy prawicowych na lewicujących aktywistów, usłyszał w telewizji głos ministra zdrowia. Ów zapowiadał powrót do obostrzeń pandemicznych. Kaczmarkowi stanęły przed oczami sceny sprzed kilku lat i już oczami wyobraźni widział konduktę żałobną, którym łaskawie pozwolono pochować bliskich, bo ci w rezultacie zamknięcia placówek służby zdrowia nie doczekali planowanych zabiegów i badań, które mogły im uratować życie. Widział też kolejną zapaść

gospodarki, która przy obecnym zadłużeniu państwa i lewo żipiących firmach sektora prywatnego musiała oznaczać Wielki Reset, jak to poetycko ujął Klaus Schwab, kolejne wcielenie niemieckich troglodytów.

– Skurwysyny. Zwykle skurwysyny! Oszuści i kurwiarze – ulalo się Kaczmarkowi.

Instynktownie przysunął laptopa, odnalazł informację o planach ministra, skopiował ją do pamięci, kliknął w przycisk *utwórz wiadomość*, wkleił treść informacji i napisał komentarz: „Długo powstrzymywałem się z napisaniem tego co poniżej. Ty szmondaku! Życzę ci, żebyś tak jak miliony ludzi patrzył bezradnie, jak umierają ci bliscy. Tak! Bezradnie. I żeby cię, kurwa, przy tym bardzo bolało!”. Nacisnął przycisk *wyslij* i wpis został upubliczniony.

Stefan Kaczmarek miał niskie zasięgi. Nieco ponad dwustu obserwujących i kilku, którzy komentowali lub wyrażali, poprzez ikonkę *polub*, aprobatę dla tego, co napisał. Tak było i tym razem. I pewnie jego wpis podzieliłby los komentarzy innych użytkowników portalu, którym się przelalo, gdyby nie paru lizusów wspierających rządzącą koalicję i ministra zdrowia.

Tydzień później minister ogłosił hiobową wieść, że u jego żony zdiagnozowano nieuleczalną chorobę. Tak jak to politycy mają w zwyczaju, wpis był duszoszczypatelny, w którym on, lewicowy działacz prosił wszystkich o modlitwę za żonę. Kilku wyrywnych

internautów zamieściło cyniczny komentarz, ale większość z nich szybko usunęła swoje wpisy. Jedni, bo uznali, że jednak przegięli, inni, bo plemię okolorządowe zagroziło im konsekwencjami prawnymi lub wprost śmiercią. I wtedy ktoś zestawił wpis Kaczmarka z informacją podaną przez ministra. Dopisał też stosowany komentarz: „I takie skurwysyny chodzą żywe po ziemi. Jesteś z siebie zadowolony? Żebyś zdechl!”. Siła sprawcza tych wpisów okazała się, w przeciwieństwie do życzeń Kaczmarka skierowanych do ministra, żadna. Kaczmarek nie tylko nie zdechl, ale też zamieścił kolejny wpis: „Cóż, nosił wilk razy kilka...”. Pod tym wpisem wylano na autora wiadro pomyj. Także kilkanaście osób wspierających opozycję udzieliło dobrej rady Stefanowi, żeby nie życzył drugiemu, co jemu samemu niemiłe. Kaczmarek pablokował niektóre najbardziej zajadle życzenia skierowane do niego samego i jego najbliższych, a jednemu z dotychczasowych obserwujących, którzy zaczęli moralizować nad jego postawą, przekleił wpis rzeczzonego, w którym ten, ni mniej, ni więcej, tylko życzy jednemu z polityków, żeby przeniósł się na tamten świat, najlepiej z rodziną.

Media podchwyciły temat i dobrały się Kaczmarkowi do skóry. Niewiele dziennikarze mogli zdziałać, bo ten prowadził prywatną firmę. Usunięcie go ze stanowiska nie wchodziło w rachubę. Próbowano nasłać na niego urząd skarbowy, ale jego pracownicy po

wyrywkowej kontroli stwierdzili, że nie ma się do czego przyczepić, bo jednoosobowa działalność gospodarcza ma tak prostą księgowość, że znalezienie haka na hejtera jest mało prawdopodobne. Z braku lepszych pomysłów wiodąca w moralizowaniu gazeta zajęła się symem Kaczmarka, który właśnie szykował się do obrony pracy magisterskiej. Jej czołowy dziennikarz wyspecjalizowany w artykułach z pogranicza faktów, fikcji, braku wszelkich zahamowań etycznych i rynsztoka wypichcił stosowny paszkwil, ale i ten przeszedł bez echa.

Sprawa być może przyschlaby, jak wiele innych, gdyby nie sam Kaczmarek, który nie zamierzał skapitulować. Któregoś wieczora, będąc w odpowiednim nastroju po wypiciu czterech szklaneczek whisky, opublikował swój komentarz do całego zamieszania, jakie wywołał.

„Doszedłem do wniosku, że niepotrzebnie zaangażowałem w sprawę rodzinę ministra. Co prawda, Pani Ministrowo, widziały gały, co brały. Jednak wobec podłości losu, który doświadczył żonę ministra Sz., nie zamierzam przejść obojętnie. Tedy cofam zlorzeczenia skierowane do jego rodziny. Życzę, naprawdę z całego serca, Pani Ministrowo, powrotu do zdrowia i pełni sił. Jednocześnie w uznaniu zasług ministra dla przeniesienia na tamten świat tysięcy moich rodaków życzę mu, żeby sam doświadczył losu tych, których już nie ma między nami”.

Tradycyjnie zwolennicy rządu opróżnili szambo w komentarzach. Kilkadziesiąt osób w moralnym uniesieniu umieściło, co ciekawe, identyczny komentarz: „Co, teraz ci przykro, jak kobieta umiera? Zamiast przeprosić, bydlaku, ty dalej brniesz w gnój, który rozlałeś w Internecie”.

I wtedy wydarzyło się coś, czego scenariusz mógł przewidzieć tylko scenarzysta z Bollywood. Media doniosły, że dolegliwości żony ministra ustąpiły i kobieta chociaż pozostanie do końca tygodnia w szpitalu na obserwacji, najprawdopodobniej za kilka dni wróci do domu.

Trzy dni później wybuchła druga bomba. Minister zaniemógł. Wylądował najpierw na SOR-ze, a potem na OIOM-ie szpitala rządowego, otoczony troskliwą opieką najlepszych fachowców w kraju. Wszystkich chwilowo zatkało. Pierwszy przebudził się Internet.

„Starenia, płacę 100 tys. zł, jak mojej teściowej napiszesz odpowiednie życzenia”. „Panie Stefanie, prosimy o życzenia dla premiera i całej rady ministrów”. „Mój mąż zostawił mnie z czwórka dzieci, czy mógłby Pan...”. W tym tonie pisali w komentarzach do Kaczmarka użytkownicy portalu społecznościowego. Oczywiście nie zabrakło tych, którzy uważali, że ich postawy etyczne są wzorcowe dla całej reszty: „Myśli Pan, że to zabawne?” „Bawi się Pan ludzkim nieszczęściem!” „Jak Pan może, jest Pan zwykłym bydlakiem”. W tym

ostatnim komentarzu autor wyraził swą uwagę do Kaczmarka, pisząc słowo pan wielką literą, aczkolwiek wyraz bydlak napisał już małą.

Pracownicy najemni z dziennikarskimi legitymacjami nie bardzo wiedzieli jak ugryźć całą sprawę. Zrobili więc to, co ich zdaniem powinni robić wszyscy światli i wierzący w naukę ludzie. Odwołali się do ekspertów. Przez studia telewizyjne, radiowe, podcasty zaczęły przewijać się niekwestionowane (przez tych, którzy ich zapraszali, ma się rozumieć) autorytety z psychologii, psychiatrii, kardiologii (okazało się, że minister cierpi na szczególnie trudny do wyleczenia przypadek zapalenia mięśnia sercowego, mimo że miał dopiero czterdzieści pięć lat), a nawet parapsychologii, którą już od pewnego czasu zaliczono do pełnoprawnego, stricte naukowego kierunku studiów. Psychologowie nakreślali związki przyczynowo-skutkowe chorób ministerialnej małżonki i samego ministra. Dolegliwości obojga tłumaczyli stresem, depresją, których pierwotną przyczyną był oczywiście hejt w Internecie. Chwilowo nie mieli żadnych wyjaśnień dla cudownego ozdrowienia pani ministrowej. Psychiatrzy byli bardziej wstrzemięźliwi w ferowaniu diagnoz i raczej zwalali wszystko na zwykły przypadek. Jeden z nich nawet wyliczył prawdopodobieństwo takiego zdarzenia i wyszło mu, że jest ono tak samo możliwe jak trafienie szóstki w Lotto. Parapsychologowie mieli zupełny odlot w stu-

diu i widać było, że dla popularności gotowi są przed kamerą opowiadać najstraszliwsze brednie, byleby tylko zareklamować siebie i swoją radosną twórczość.

Swoje pięć groszy wtrącił także lewicująco-lewitujący w jednej z prywatnych telewizji ksiądz, który zapowiedział przeprowadzenie egzorcyzmów. Klecha ów, który na co dzień krytycznie odnosił się do przejawów wiary w Boga osadzonych silnie w liturgii, teraz odgrzebał z przepastnych zakamarków metafizyki jakąś księgę, którą zaprezentował widzom z miną znawcy tematu. Na wpis imiennie skierowany przez księdza neoegzorcystę Kaczmarek zareagował komentarzem: „Trzymaj się ode mnie z daleka klecho, bo nie znasz dnia ani godziny”. Dzień później znaleziono księdza leżącego na podłodze. Stwierdzono wylew i odstawiono go do szpitala.

Od tego dnia sąsiedzi i obcy ludzie na widok Kaczmarka kłaniali mu się w pas, pytając o zdrowie, oferując pomoc, szczerząc się od ucha do ucha. Rodzina i znajomi, z którymi nie miał od lat kontaktu, nagle przypomnieli sobie o jego istnieniu. Skrzynkę mailową zawałiły życzenia, pozdrowienia, wspólnie zrobione przed laty zdjęcia.

Media nabrały wody w usta, bo cała awantura zdecydowanie wymknęła się spod ich kontroli. Politycy, pomni utrwalonej na taśmie w knajpie „u Sowy” obietnicy prominentnego działacza, że „tak długo, jak kurwa

trzymasz z nami, będziemy cię chronić” czy jakoś tak, postanowili ugryźć sprawę od strony formalnej. W ministerstwie sprawiedliwości zebrało się grono zaufanych ekspertów, którzy radzili, czy nie można by Kaczmarka uciszyć, posadziwszy go za złamanie prawa. Mądre prawnicze głowy próbowały dopasować stosowny artykuł kodeksu karnego do tego, co napisał w Internecie hejter, ale w obowiązujących wciąż przepisach nie znaleziono żadnego, który choć w przybliżeniu dawałby szansę skazania go, nawet przy założeniu, że sędzia podzielałby całkowicie opinię prokuratora. Ustawa o mowie nienawiści, która mogłaby posłużyć jako knebel i wykładnia prawna dla prokuratora, wciąż leżała na biurku komisji sejmowej.

W takiej sytuacji prokurator generalny wydał nakaz miejscowej prokuraturze przesłuchania Kaczmarka w charakterze podejrzanego. Zamiast jednak zrobić to po cichu, ogłosił na konferencji prasowej. Wtedy jeden z dziennikarzy przytomnie zadał pytanie, czy policja prowadzi jakiegokolwiek śledztwo w sprawie.

– Proszę pana, sprawa jest, jak pan dobrze wie, bardzo delikatna i nie mogę ujawniać wszystkich szczegółów – odpalił minister, pewien, że pozbył się natręta.

Natręt jednak nie zamierzał skapitulować.

– Ale ja nie pytam o szczegóły sprawy, tylko o to, czy policja prowadzi w tej sprawie jakiegokolwiek śledztwo. Prokuratura, o ile wiem, przesłuchuje podej-

rzanych lub świadków tylko w prowadzonej sprawie. Więc pytam: Czy w tej sprawie jest prowadzone śledztwo? I drugie pytanie: Czego ono ma dotyczyć? Niewytłumaczalnego zapadnięcia na zdrowiu żony ministra, potem ministra i wreszcie księdza? A jeżeli tak, to czy będzie także prowadzone śledztwo w sprawie cudownego ozdrowienia żony ministra?

– Powiedziałem to, co powiedziałem. Dziękuję państwu! – prokurator odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem skierował się do swojego gabinetu.

– Palant – dziennikarz nie krył irytacji, patrząc koleżance po fachu w oczy. – Czy oni zgłupieli do reszty? Facet miałby najpierw spowodować chorobę żony ministra, nie wiem, podtruwając ją, a potem fundując ministrowi zapalenie mięśnia sercowego? Jak, kurwa mać? W jaki sposób? Przecież to wymagałoby interwencji chirurgicznej albo iniekcji... Czekaj! – złapał koleżankę za rękę. – Nie wiesz, czy minister szczepił się na covid?

– A skąd mam wiedzieć? – burknęła dziennikarka, bo wiedziała, do czego zmierza jej kolega. – Przecież to jest objęte tajemnicą lekarską.

– Jasne. No nic, muszę lecieć – odpowiedział mężczyzna, wyciągnął smartfon i zbiegł po schodach do wyjścia.

Następnego dnia ktoś wypuścił dzina z butelki. W Internecie pojawiła się informacja, że rzekomo nikt z prokuratury rejonowej nie chce się podjąć prze-

słuchania Kaczmarka. Oficjalnie z braku odpowiednich przesłanek, nieoficjalnie donoszono, że prokuratorzy mają cykora i nie chcą być następnymi na SOR-ze. Zgnile jajeczko podrzucono na komisariat policji, właściwy dla miejsca zamieszkania specjalisty od czarnej magii. Policjanci wytypowani do przesłuchania wzięli zwolnienie lekarskie. Całą sprawą zdawał się dobrze bawić sam zainteresowany, który po południu umieścił kolejny swój wpis: „Szanowny Panie Ministrze, Prokuratorze Generalny i Wy, dzielni Policjanci. Proszę się nie bać. Solennie obiecuję, że nawet w myślach was nie przeklnę, a jeśli by mi się to zdarzyło mimowolnie, natychmiast głośno to odwołam i będę życzyć Wam wszelkiej pomyślności. Przynajmniej do czasu, aż uznam, że mnie wkurwiacie”.

Znowu zagotowało się w komentarzach pod wpisem Stefana. Internauci publikowali listy z wykazem polityków i różnych influencerów, którzy ich zdaniem powinni zostać obłożeni klątwą. Afera zaczęła zataczać coraz szersze kręgi i trafiła na czołówki najważniejszych tytułów medialnych na świecie. Komentatorzy nie kryli rozbawienia, że lewicowo-centrowa koalicja daje wiarę siłom nadprzyrodzonym. Decyzję rządzących polityków wymownie pozostawiono bez komentarza. Polskie państwo po raz kolejny stało się przedmiotem niewybrednych dowcipów.

Tymczasem w Polsce doszło do niespodziewanego sprzymierzenia się lewicy z prawicą. Politycy i dziennikarze, zapominając chwilowo o dzielącym ich murze nienawiści, rozpoczęli debaty paramoralne o odpowiedzialności za słowo. Lewica po raz kolejny powtórzyła swoją ulubioną tezę, że słowo może zabijać. Prawica przypominała o siłach zła, szatanie i jego kolejnych wcieleniach. Nikt nikomu nie przerywał, wszyscy się komplementowali, kiwali z uznaniem głową dla wypowiedzianych poglądów, chociaż jeszcze kilka dni wcześniej byli gotowi skoczyć do gardła każdemu, kto je wygłaszał.

Temu wszystkiemu przysłuchiwali się nachodźcy, w większości muzułmańscy, których nielegalnie przerzucono przez wschodnią granicę i całkiem legalnie przez zachodnią granicę przyjaźni polsko-niemieckiej.

Jednym z nich był Abdullah Ibn Karafi, przysłany do Europy przez somalijski ISIS. Przetłumaczył sobie w translatorze doniesienia prasowe o niewiernym rzucającym kłutwy. Nie czekając na rozkaz swojego mułły, postanowił zasłużyć się Allahowi. Trzy dni wystawał przed domem Kaczmarka. Trzeciego dnia wieczorem, gdy zauważył wychodzącego niewiernego z klatki schodowej, doskoczył do niego przy śmietniku. Zadał mu cztery ciosy nożem i zwał.

O ciężko rannym Stefanie przewiezionym na SOR natychmiast poinformowały media. Niektórzy dzień-

nikarze nie kryli satysfakcji. W mediach, tych tradycyjnych i społecznościowych, powtarzano wciąż jedno słowo: karma.

Trzy dni później sprawę rzekomych klątw wyjaśnił dziennikarz, który zadawał prokuratorowi niewygodne pytania. Sprawa okazała się banalnie prosta. Żonie ministra na skutek burdelu w służbie zdrowia błędnie zdiagnozowano chorobę. Cierpiała po prostu na lekki nieżyt dróg pokarmowych. Minister miał, jak podejrzewał dziennikarz, chociaż nie potwierdzili tego lekarze, zasłaniając się tajemnicą lekarską, powikłania po szczepionce mRNA. Z kolei ksiądz od dłuższego czasu nadużywał alkoholu i prochów uspokajających, bo gdy wieczorem sobie porządnie nie gołnął, nie mógł zasnąć. Feralnego wieczoru zapił i dla spokojności strzelił sobie podwójną dawkę leku. Ale to już nikogo właściwie nie obchodziło. Podobnie jak stan zdrowia Stefana Kaczmarka.

Czas zabijania

Zadupie. Przemętowo jest gminą, jakich pełno w wiejskim krajobrazie Polesia. Po zmianach polityczno-gospodarczych w Polsce przez miejscowych oficjeli nazywane było „naszą małą Ojczyzną”. Mieszkańcy nie zmienili swoich przyzwyczajeń i dalej mówili na swoją miejscowość Przemętowo. Miastowi, bynajmniej nie z Białegostoku, ale z takich „metropolii”, jak Bielsk albo Tykocin, oraz ci, którzy stąd wyjechali do pracy w poszukiwaniu nadziei na lepsze życie, nazywali gminę pogardliwie zadupiem. Określenie lepsze życie należy jednak traktować umownie. Lepsze w tym przypadku oznacza nowocześniejsze, pozwalające w znacznie większym stopniu czerpać z dorobku cywilizacji dwudziestego pierwszego wieku, w tym edukacji, zwłaszcza na poziomie średnim i wyższym, służby zdrowia, dóbr i oferty kultury: kin, teatrów, muzeów, galerii, czy w miarę nowoczesnego transportu publicznego. Duże miasta wciąż przyciągają swoim potencjałem, mimo że koszty życia, w tym zwłaszcza własnego kąta, są znacznie wyższe niż na prowincji.

W miastach i aglomeracjach, szczególnie tych o pretensjach metropolitalnych, takich jak Warszawa, Trójmiasto, Poznań czy Wrocław, rozwojowi gospodarczemu towarzyszył postęp, wręcz progresja społecznych zachowań, które zostały zaimportowane z zachodniej części Unii Europejskiej, USA i Kanady. Zjawiska otwartości na odmienność, różnorodność, tolerancję i ekologię rozwinęły się, nadając ton polityce Zachodu. W ciągu dekady gabinety polityczne uległy szturmowcom kilkudziesięciu tożsamości płciowych i aktywistom walki o klimat. Ekonomię i kwestie gospodarcze zepchnięto do roli cywilizacyjnych wyrzutów sumienia. Młodzi ludzie, ramię w ramię z polityczkami, politykami i osobopolitykami (czyli osobami o nieokreślonej płciowości, które zajmują się polityką), tak jak siedemdziesiąt lat wcześniej komuniści, zwarli szeregi i toczyli nieustającą walkę o lepsze jutro dla siebie i dla planety. Aksjomaty tych zmian polityczno-społecznych co rusz usiłowali podważać reakcyjniści o konserwatywnych poglądach na świat. Wraz z nadejściem dwudziestego pierwszego wieku byli już w mniejszości. Do awangardy progresywnych ruchów włączyli się bowiem najbogatsi ludzie na planecie – właściciele olbrzymich korporacji, tacy jak Rotschildowie, Rockefellerowie, Gates, Bezos, Brin, spekulanci jak Soros czy szefowie dużych firm, takich jak Ikea, którzy hojnie finansują aktywistów różnej maści. Wszyscy oni, jak niegdyś

inteligencja w bloku wschodnim, wspierają ruchy społeczne, rozmontowując lub gruntownie przebudowując stare instytucje społeczne, na których opierała się przez ostatnie kilkaset lat zachodnia cywilizacja: państwo, rodzina i religia – trzy wyznaczniki tożsamości mieszkańców państw Zachodu. Czwarty filar – gospodarka, jak zakładał guru Światowego Forum Ekonomicznego Klaus Schwab, miał zostać także zmieniony od podstaw. Kapitalizm właścicielski miał zostać zamieniony przez kapitalizm interesariuszy, cokolwiek to znaczy.

Tym nowoczesnym koncepcjom przebudowy zachodniego świata opierała się wciąż prowincja, której nie paliło się do gruntownych zmian. Młodzi ludzie, z natury niecierpliwi, nie chcąc czekać aż zmiany dotrą do ich przysiółków, wychodzili, a właściwie, wyjeżdżali gromadnie do miast, a bardziej zamożni i utalentowani wyjeżdżali z Polski. Na wsi zostawiali starsi i ci, którzy nie mieli odpowiedniej siły przebicia na tyle, żeby poradzić sobie z kosztami i tempem życia w dużych miastach. W ten sposób rozwarstwienie mentalne Polaków pogłębiało się, czemu dawano wyraz nie tylko w trakcie wyborów, ale także w sztuce pisarskiej i filmowej.

Klara Wojciechowska nie chciała wyjeżdżać z Przemętowa. Tu się urodziła i tu chciała być pochowana. Obok swoich dziadków i pradziadków. Rodzice Klary dożywali swoich dni w małym domku w jednej ze wsi, która położona była na obrzeżach gminy.

Prowadzili nieskomplikowane życie wiejskich emerytów, którym nędzna emerytura wystarczała tylko na zapłacenie rachunków i pokrycie kosztów żywienia. Wszystkie tak zwane potrzeby wyższego rzędu zastępowały im codzienne msze w miejscowym kościele.

Proboszczem parafii w Przemętowie był ksiądz Kazimierz Wykłocz. Parafię objął w pierwszej dekadzie nowego wieku, przeniesiony z jednego z kościołów w Białej Podlaskiej. Plotki głosiły, że Wykłocz został zesłany, bo w poprzedniej parafii, gdzie był przez jedenaście lat wikarym, doszło do jakichś bulwersujących wydarzeń. Nikt tak naprawdę nie wiedział, o co chodziło, bo władze kościelne nakładały pełne embargo na przypadki nieprzystojnego lub nieuczciwego zachowania się swoich podwładnych. Pod tym względem niewiele różniły się od władz Peerelu.

Wykłocz, obejmując probostwo, postawił na przyciągnięcie młodzieży, bo ta wraz z końcem wieku zaczęła stopniowo unikać regularnego uczestniczenia w nabożeństwach, nie mówiąc już o innych przejawach życia wspólnoty. Wprowadził ścisły podział na msze dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Te ostatnie najczęściej pozwalał prowadzić wikaremu, którego dopiero co przydzielono do parafii, dwa tygodnie po wyświęceniu. Wierni trochę dziwili się na początku, że proboszcz tak chętnie bywa na lekcjach religii dla dzieci prowadzonych przez siostrę Paulinę, a niektóre zajęcia z nimi

prowadzi osobiście. Wyjaśnienie tego zachowania księdza wydawało się niektórym oczywiste: chodziło o kasę, którą proboszcz dostawał za każdą godzinę lekcji religii.

Wikary trochę pogrywał na gitarze i któregoś dnia zaproponował proboszczowi, że założy zespół muzyczny, który zamiast organisty Blizaka będzie przygrywał w trakcie mszy dla młodzieży. Blizak co prawda nieźle sobie radził z grą na organach, kiedy jednak wyciągał wysokie rejestry ze swoich strun głosowych: *Jezuuuuu, zmmiiiluuuuuj się na naaaaami!*, nawet stare babcie, na co dzień same mające skłonności do nieudolnego naśladowania sopranetek operowych, krzywiły się z niesmakiem, przymykając oczy. Z kolei młodzi w trakcie nabożeństw najczęściej stali na zewnątrz, kurrząc fajki i obgadując rówieśników. To ich młody wikary chciał wprowadzić z powrotem do świątyni i zachęcić do przeżywania liturgii. Miało w tym pomóc zastąpienie tradycyjnych śpiewów przeróbkami pieśni religijnych z akompaniamentem gitar i pianina elektrycznego, a zawodzenia organisty damsko-męskim duetem Janki Twarogówny i Antka Szlisza. Oboje byli absolwentami szkoły muzycznej, istniała więc szansa, że zamiana nie dokona się w myśl przysłowia: Zamienił strzyjek siekierkę na kijek.

Proboszcz dłuższą chwilę zastanawiał się nad propozycją wikarego, jakby rozważał, czy mu się to opłaci i co tak naprawdę będzie z tego miał.

– A kto będzie sprawował opiekę nad zespołem? Ja mam zajęcia z dziećmi, bo ksiądz – proboszcz nie ukrywał pretensji w głosie – woli czytać książki i prowadzić religię w szkole średniej.

– Biorę to wszystko na siebie. – Wikary nie wspomniał, że gdy tylko pojawił się w parafii, proboszcz zastrzegł, że chce zajęcia z dziećmi z podstawówki sam prowadzić na zmianę z siostrą Pauliną.

– Dobrze – zgodził się Wykłocz – ale proszę się nie migać od dotychczasowego zakresu obowiązków. Wszystko, co ksiądz robił dotychczas, pozostaje bez zmian.

– To może konsekwentnie przejmę też kazania dla młodzieży?

– Chce mi ksiądz powiedzieć, że moje kazania są dla nich nieatrakcyjne, nudne?

– Nic takiego nie powiedziałem. Mam po prostu z nimi kontakt na lekcjach religii, wiem trochę, o czym rozmawiają między sobą, a mówią o różnych rzeczach...

– Co ksiądz ma na myśli, o czym mówią? – proboszcz przerwał wikaremu, podnosząc mimowolnie głos.

– Och, jak to młodzi, o różnych sprawach.

– O nas też? – dopytał się, ziewając proboszcz.

– Nie wiem. Pewnie też. Ale w mojej obecności mówią raczej o sobie, problemach w rodzinie, szkole, swoich planach życiowych, marzeniach.

– I grzechach.

– To tylko na spowiedzi.

– I dobrze. Od tego mają księży i sakrament spowiedzi, żeby oczyścić duszę, a nie gadać o wszystkim przed kamerami telewizji i Internetu.

Gdy wikary organizował zespołowi pierwsze próby, Klara Wojciechowska po raz pierwszy zauważyła, że jej syn stał się nieswój. Początkowo zrzuciła to na karb szkoły. Wiadomo, dzieciaki w szkole jak nie biją się na przerwach, to zakochują się nieszczęśliwie. Po trzech tygodniach na wywiadówce usłyszała, że Zenuś opuścił się z nauce i ma najwięcej nieobecności w klasie. Postanowiła na razie o niczym nie mówić mężowi i sama porozmawiała z synem.

– Siadaj, Zenku, musimy porozmawiać – zaczęła dość mało oryginalnie.

– O co chodzi? Czy to nie może poczekać? Mam dużo nauki.

– Doprawdy? Co chwilę słyszę, że musisz się uczyć, a tymczasem okazuje się, że masz coraz gorsze oceny. Grożą ci dwie jedynki na półroczu.

– Dlatego muszę się uczyć – chłopak próbował się wykpić z rozmowy z matką.

– Stroisz sobie ze mnie żarty? Gdybyś się uczył, twoje oceny nie byłyby takie, jakie są. A poza tym, czy możesz mi wytłumaczyć, skąd masz tyle nieusprawiedliwionych nieobecności?

– Bo mi ta głupia Krawczyk – Zenek najwyraźniej nie miał krzty poważania dla wychowawczyni – nie chciała usprawiedliwić nieobecności.

– Które pewnie sam sobie napisałeś.

– Nie, napisał mi ksiądz proboszcz.

– Jeszcze chwila i zawołam ojca.

– Co się mama czepia, prawdę mówię. Byłem u księdza po religii i on napisał mi usprawiedliwienie. O, niech mama sama spojrzy.

Zenek wyciągnął kartkę z zeszytu podstemplowaną pieczęcią parafii.

„Rzeczywiście”, po chwili stwierdziła Wojciechowska. „To by się zgadzało. Ma usprawiedliwienia na pięć lekcji i wszystkie z wtorku po lekcji religii”.

– A co ty robisz na parafii? – matka chciała ostatecznie rozwiązać swoje wątpliwości.

– Nie mamy sprawa – burknął smarkacz.

– No, no, ty, uważaj, jak się do matki odzywasz.

– Niech się mama proboszcza zapyta – odciął się Zenek.

Klara machnęła w końcu ręką. Był u księdza, znaczy w zbożnej sprawie. No ale to nie tłumaczyło tego,

że opuścił się w nauce. Jak nie poprawi ocen, to będzie musiała się rozmówić z księdzem.

Do rozmowy doszło już tydzień później, ale nie z powodu ocen. Koleżanki Klary ze sklepu, słysząc jej narzekania na to, że syn opuścił się w nauce, zarzuciły ją całą masą dobrych rad, wśród których najbardziej przekonująca była propozycja przejrzenia komputera syna.

– Bo gówniarze to sobie gry ściągają albo grają w Internecie. Możesz łatwo to sprawdzić w historii przeglądania, tylko musisz sprawdzić, z jakiej przeglądarki korzysta. – Sprzedawczyni-uczenica Kinga widzieć było, że wiedziała, o czym mówi.

– A może mi pomożesz, bo ja sama pewnie nie dam rady – poprosiła Wojciechowska.

– Nie ma sprawy. Jutro niedziela, to pójde na mszę z rana, a jak twój mały będzie na nabożeństwie dla dzieciaków, to możemy przejrzeć to i owo.

To i owo okazało się pornografią i to nie była jakaś, bo dziecięcą. Reszta, włącznie z adresami stron z gramii sieciowymi nie była warta uwagi.

Klara, patrząc na to, co stanowiło przedmiot zainteresowania syna, zamarła. Przez dłuższą chwilę nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Przez myśl jej przeszło, że może to nie Zenek, że to... o Boże, nie!, mąż! Ale mąż nie znał hasła do komputera syna. Ona

znała, bo wrzucając kiedyś spodnie syna do pralki, znalazła kartkę z zapisanym hasłem do laptopa.

– Słuchaj, Kinga, muszę cię prosić o dyskrecję.

– Nie ma sprawy, przecież on sam jest dzieckiem. Tylko nie wiem, dlaczego ogląda te świństwa, które robią jego rówieśnicy z dorosłymi. To nie ma sensu.

– Nieważne. Proszę cię, nikomu ani słowa.

– Jasne.

Kinga nikomu nic nie powiedziała, poza jedną osobą. Jej siostra pracowała w ośrodku z dziećmi, którym przetrącono życie, którym dorośli, najczęściej rodzice zafundowali podły los. Gdy Agata, siostra Kingi, usłyszała o sprawie, natychmiast kazała jej skontaktować się z Klarą.

– Ale ja nie mogę – broniła się siostra. – Obiecałam Klarze, że nikomu nie pisnę ani słowa. Naprawdę nie mogę.

– Kurwa, siostra, przestań pieprzyć. Tu chodzi o los tego chłopca. Ktoś go wykorzystuje seksualnie. On nie brandzluje się do tych filmików, bo po pierwsze, jest na to za młody, a po drugie, zapewne szuka potwierdzenia, że to, co robi z nim ktoś dorosły, nie jest niczym zdrożnym, tylko czymś zupełnie normalnym. Niewykluczone, że ten bydlak, który go wykorzystuje, sam mu podsunął te stronki, żeby go utwierdzić w przekonaniu, że to, co z nim robi, to po prostu fajna zabawa.

– A skąd wiesz, że to on, a nie ona?

– Prawie nie zdarza się, żeby kobiety pociągały dzieciaki w takim wieku. To na dziewięćdziesiąt dziewięć procent facet.

– Może jej mąż.

– Może. Dopóki z nią nie porozmawiam i z jej synem, nic nie będzie wiadomo. Chłopaka powinien zbadać lekarz.

Do rozmowy jednak nie doszło. Klara, nie mogąc sobie tego wszystkiego wytłumaczyć, poszła po radę do tego, któremu ona i mąż, a także jej rodzice i teściowie od zawsze byli gotowi zawierzyć nie tylko tajemnice swojego życia, także te intymne, ale też grzeszne myśli i uczynki.

Proboszcz wysłuchał jej i widać, że przejął się sprawą, bo zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

– Słuchajcie, Wojciechowska, może to koledzy. Wiecie, w tym wieku chłopaki dojrzewają i głupie mają pomysły. Kiedyś cycki rysowali w książkach, dzisiaj to narzędzie szatana, ten cholerny Internet podaje im wszystko na tacy. Nie róbcie niepotrzebnie szumu. Chłopakowi przejdzie, wydorośleje i ani on, ani wy nie będziecie o tym pamiętać.

Agata zadzwoniła do Klary i poprosiła ją o spotkanie. Ta, wiedząc, czym zajmuje się siostra jej koleżanki, odmówiła, zalecając, żeby trzymała się od niej i jej dziecka z daleka.

– Pani syn potrzebuje fachowej pomocy. Sama pani sobie z tym nie poradzi – przekonywała psycholożka.

– I to niby pani jest tym specjalistą? Chce pani sobie wyrobić nazwisko i pewnie opowiadać o wszystkim w tym cholernym Internecie. Byłam już u specjalisty.

– Wolno wiedzieć u kogo?

– Nie wolno. A zresztą. Byłam z tym u księdza proboszcza. On nie z takimi przypadkami zagubienia się młodych dusz miał do czynienia. To mu minie.

– Na Boga, przecież to pani dziecko!

– Niech się pani odpieprzy, mówię pani!

– Czy nie zauważała pani nic niepokojącego w zachowaniu męża?

– Co pani sobie wyobraża? Że niby mój mąż ogląda te świństwa?

– Nie o tym mówię. Czy pani mąż nie spędza sam czasu z synem...

Nie dokończyła, bo Klara rozłączyła się.

Klara Kingę objechała z góry na dół, wymuszając na kierownicze pozbycie się wiarołomnej koleżanki. Kierowniczka, mając do wyboru pozbycie się młodej niedoświadczonej pracownicy i Wojciechowskiej, która zastępowała ją w czasie urlopu, długo się zastanawiała. Kiedy Agata dowiedziała się o tym, że jej siostra straciła pracę, odpuściła. Chciała iść na policję, ale doszła do wniosku, że nic tym nie wskóra. Poza zeznaniami siostry nie miała żadnych dowodów.

A przeglądanie przez nieletniego pornoli z udziałem dzieci było co najwyżej wykroczeniem, problemem wychowawczym, a nie kryminalnym. Zastanowiło ją przez chwilę stanowisko proboszcza. Jego jakieś niejasne problemy w poprzedniej parafii mogły mieć związek z tym chłopcem. Zdawała sobie jednak sprawę, że w takich małych miejscowościach jak Przemętowo rządzi trójkąt bermudzki: wójt-policja-parafia. Próba naruszenia któregoś z jego wierzchołków natychmiast wywoływała reakcję pozostałych.

Klara wściekła wróciła do domu. Najpierw chciała o wszystkim powiedzieć mężowi, ale nie mogła wykrztusić słowa. Coś nie dawało jej spokoju. Ta cholerna psycholożka zasiała ziarno podejrzeń, które właśnie zaczęło kiełkować. Wojciechowska przez kilka dni zmagala się z myślami i wreszcie postanowiła. Przypilnuje starego.

Przez tydzień nic się nie działo. Jej mąż miał dość stabilny sposób spędzania czasu poza pracą. Kilka razy zapowiedziała mężowi, że wychodzi a to do pracy, bo musi zastąpić koleżankę, a to do psiapsiółek na ploty, to znowu do fryzjera, po czym niespodziewanie wracała do domu, niby, że czegoś tam zapomniała.

Mąż w końcu nie wytrzymał i zapytał Klarę wprost:

– Słuchaj no, co ty odpierdalasz? Myślisz, że cię zdradzam z kochanką czy że piję, gdy wychodzisz?

– O co ci chodzi? Ty nigdy o niczym nie zapomnialeś?

– Zdarzało się, ale nie do cholery kilka razy w tygodniu! Może idź do lekarza, takiego od pamięci.

Chcąc nie chcąc, musiała staremu odpuścić.

Syn któregoś dnia wrócił ze szkoły z podbitym okiem. Poszła więc do szkoły, do wychowawczynie. Niczego konkretnego się jednak nie dowiedziała, poza tym, że Zenek pierwszy uderzył wyższego i silniejszego kolegę. Gdy próbowała dowiedzieć się czegoś od syna, ten tylko coś odburknął i zamknął się w pokoju. Okazało się, że to, o czym nie wiedziała matka chłopca, dobrze było wiadome jego rówieśnikom. Gdy chłopcy pokłócili się w czasie gry w piłkę, wyrośnięty Franek Krych warknął do Zenka:

– Ty łachu, idź proboszczowi lepiej zrobić łaskę.

Zenek posiniał ze złości i nie zastanawiając się nad konsekwencjami, odwinął przerośniętemu w kły. Krych tylko przeciągnął ręką po pękniętej wardze i wyprowadził cios, podbijając Wojciechowskiemu oko.

W końcu matka postanowiła pójść z synem do lekarza. Lekarka w ośrodku pobieżnie zbadala chłopaka, ale poza podbitym okiem nie zdiagnozowała niczego niepokojącego. Wieczorem syn odmówił pójścia następnego dnia do szkoły. Od słowa do słowa chłopak wykrzyczał w końcu matce w czym rzecz.

– Bo ty o niczym nie wiesz. Bo nie masz pojęcia, jak to jest, jak cię w szkole pokazują palcami i nazywają pedalem.

– Ale synku, co ty mówisz? Kto ci zrobił krzywdę?

– Kto? Ty nie wiesz kto? Ten, któremu się spowiadasz co miesiąc, a czasem co tydzień. To on mi to zrobił! To on mi każe sobie robić dobrze i mówi, że wszystko jest okej, bo Jezus tak chce. I że jak nie będę gadał, to on mi załatwi, żeby mnie puścili do następnej klasy. Mam tylko nic nie mówić, więc ja nic nie mówię. To na mnie mówią pedał i zboczeniec!

Klarze świecek stanęły przed oczami i krzyknęła:

– Zenuś, przestań, już przestań – i próbowała go objąć ramionami.

– Daj mi spokój, nie dotykaj, nie! Mam was dosyć. Wszystkich! Kim ja dla was, kurwa, jestem? No kim? Chcecie mnie poświęcić jak baranka ofiarnego? Idź stąd! No idź, mówię!

Matka wycofała się chwiejnym krokiem z pokoju syna i cicho zamknęła za sobą drzwi. Mężowi nic nie powiedziała. Wsiadła na rower i podjechała do rodziców. Ci, wysłuchawszy jej, przez dłuższą chwilę nic nie mówili.

Pierwszy odezwał się ojciec.

– Jak zaczniesz córko walczyć z proboszczem, to cię ludzie znienawidzą. Tobie i Zenkowi zrobią piekło.

Włączy się w to wójt i policja, wiesz, jak to jest. Będą przesłuchania, kontrole w sklepie...

– Nic ci nie mówiliśmy – włączyła się matka Klary – ale rok temu u Stefańskiej było to samo. Proboszcz ponoć się do jej syna dostawiał, a ona naiwna pojechała z tym do biskupa, żądając, żeby przenieśli proboszcza. Biskup ją wysłuchał i powiedział, że wie o wszystkim, bo proboszcz mu już sam o tym powiedział. Okazało się że syn Stefańskiej tak zakręcił, wszystko do góry nogami postawił i w końcu wyszło na to, że to jej chłopak księdza na złą drogę chciał sprowadzić. Ponoć szantażował proboszcza, żądając pieniędzy. Stefańska wysłała chłopaka do matki i przeniosła do innej szkoły i się skończyło.

– Ale ja rozmawiałam z Zenkiem. Ja znam swojego syna! On nie kłamał.

– To tylko Pan Bóg wie! Zrobisz, jak zechcesz, ale nie przychodź potem po radę – skwitował ojciec.

Klara była w kropce. Nie widziała co zrobić. Bała się, że gdy powie o wszystkim mężowi, ten tylko pogorszy sytuację. Heniek był w zasadzie opanowany, ale niekiedy wychodził z nerw i wtedy mógł zrobić wszystko. Albo stłuc syna, gdy nabierze podejrzeń, że smarkacz konfabuluje, albo co gorsza, pójdzie z awanturą do proboszcza, a wtedy się zacznie. Nawet nie próbowała sobie wyobrazić, co się zacznie. Dla niej i dla całej rodziny.

Żeby uspokoić sumienie, zabrała syna do prywatnego lekarza. Ten, przy pomocy kolegi specjalisty, przeprowadził obdukcję chłopca i stwierdził: syn był molestowany i odbywał stosunki analne. W takiej sytuacji sprawę zgłoszono policji wojewódzkiej.

Sprawa dziecka jednak potoczyła się szybciej i innym torem, niż chciała matka. Klara wciąż milczała, ale inni gadali. Dzieciaki, posługując się najnowszą technologią, zrobiły z problemu tajemnicę poliszynela.

Dyskusję gówniarzy w necie zobaczyła Agata i postanowiła zainteresować sprawą media, dopóki jeszcze pracowali w nich dziennikarze.

Jacek Sosnowski nie był wybitnym dziennikarzem. Jak wielu jego kolegów polował na nośne, sensacyjne tematy. Gdy zadzwoniła do niego psycholożka, niechętnie umówił się na spotkanie. Kiedy dowiedział się, o co chodzi, poczuł krew. Co prawda temat był ryzykowny, bo mogło się skończyć sprawą w sądzie, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że gra jest warta podjęcia ryzyka. Zmowa milczenia. Tak! Dziennikarz miał już nawet tytuł dla cyklu artykułów. Z takim tematem pierwsza strona będzie murowana.

Przeprowadził wywiad z psycholożką, notował najważniejsze informacje, z których miał potem ułożyć poszczególne wątki sprawy.

Sosnowski przyjechał do Przemętowa. Wiedział, że z matką nie porozmawia po tym, jak ta potraktowała

psycholożkę. Postanowił pogadać z dziećmi. Po dwóch godzinach wiedział już wystarczająco dużo. Spotkał się też ze znajomą z komendy wojewódzkiej. Teraz przyszedł czas przekonać naczelnego, żeby dał mu pierwszą stronę. Ten zgodził się pod warunkiem, że zrobi wywiad z proboszczem.

Dwa dni później w gminie zawrzało. Z artykułu, który opublikował *Głos z Podlasia*, wynikało, że Zenek jest nie tylko ofiarą proboszcza, ale i wszystkich dorosłych, włączając w to władze gminy, policję, szkołę z nauczycielami i rodzinę chłopca. Dziennikarz odmalował obraz zaścianka, w którym wszystko co wstydlive zamyka się pod dywan. Kiedy wójt, dyrektor szkoły i miejscowa policja zagrozili redakcji *Głosu* procesem sądowym, a do protestów przyłączył się przedstawiciel kurii, Sosnowski w internetowym wydaniu gazety zadał pytanie: Czy to prawda, że do komendy wojewódzkiej zgłoszono fakt molestowania seksualnego nieletniego z Przemętowa? Policja nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła.

Tymczasem powiązane z kościołem i prawicą media uderzyły w wysokie tony. Zarzucano dziennikarzowi robienie tematu z prywatnej sprawy dziecka, upublicznienie objętych tajemnicą lekarską dokumentów, nazywano go: hieną, kanalią, gnidą i co oczywiste w mediach społecznościowych – skurwysynem.

Gdy dziennikarz przyjechał przeprowadzić wywiad z proboszczem, przed parafią czekał na niego komitet powitalny złożony z rozwrzeszczanych bab miotających przekleństwa, z których najłagodniejszym było: Wypierdalaj! Kilku osilków wyszło przed owe damy i pewnie doszłoby do linczu, gdyby nie zjawiała się policja. Interwencja mundurowych była cokolwiek spóźniona, bo Sosnowski zaliczył dwie plomby, z których jedna złamała mu nos. Wściekli gliniarze odwieźli zakrwawionego dziennikarza na SOR do miasta, jeden odprowadził jego samochód na policyjny parking. W nocy nieznani sprawcy wytłukli w nim wszystkie szyby. Obraz przedstawiony w artykule zaczynał znajdować swoje potwierdzenie w rzeczywistości.

Wojciechowscy najpierw zamknęli się w domu, a po dwóch dniach, gdy niektórzy sąsiedzi i znajomi zaczęli spluwać na ich widok, postanowili z synem wyjechać do rodziny na Pomorze. Pobicie dziennikarza spowodowało, że sprawa chłopca stała się ogólnopolską sensacją. Dziennikarze tropili rodzinę, za nic mając ich prośby o prywatność i spokój syna. Proboszcz w niedzielę całe kazanie poświęcił grzechowi mówienia nieprawdziwego świadectwa przeciw bliźniemu. I wtedy tama pękła.

Do redakcji zgłosili się dorośli już mężczyźni odpowiadający o tym, jak obecny proboszcz Przemętowa zabawiał się z nimi po godzinach, racząc ich winem,

a potem obleśne zabawiając się z nimi. Podawali szczegóły, łącznie z tymi anatomicznymi klechy. Trzy osoby mówiły niemal to samo.

Tydzień później kuria w trybie natychmiastowym przeniosła proboszcza do jednego z klasztorów. Teraz cała niechęć wsi skupiła się na Wojciechowskich, których co kilka dni wzywała na przesłuchanie policja, jakby w ten sposób chciała zatrzeć wrażenie, że cokolwiek zaniechała w całej sprawie. W tej sytuacji Klara z mężem podjęli decyzję o wyprowadzce. Nie zdążyli. Zenek w nocy wyrwał się z domu, poszedł nad rzekę, rozebrał się, złożył ubranie w kostkę i wszedł do wody. Czarny nurt rzeki wciągnął chłopca, wypuszczając go ze swoich macek pół kilometra dalej. Tam po południu znaleźli go strażacy.

Ci, którzy doczytali do końca to opowiadanie i oglądali film o tym samym tytule, z Matthew McConaughey'em w roli adwokata, być może domyślają się, jak zamierzam je spuentować. Zrobię to, zrzynając z Grishama końcówkę utrzymaną w tej samej poetyce.

No więc zamknijcie oczy i wyobraźcie sobie małego chłopca z ufnością pomagającego księdzu w różnych pracach na terenie parafii. Miał przed sobą całe życie. Być może zostałby dobrym lekarzem, kochającym mężem, ojcem. Gdy wchodził do kościoła, widział

Jezusa cierpiącego na krzyżu za grzechy ludzi. On ponosił największą ofiarę, także za niego, za jego grzechy. Tak mówił mu ksiądz. Ten ksiądz, którego mama i tata tak szanowali. Ten, którego kazali słuchać dziadkowie. No więc ten mały chłopiec posłuchał i uwierzył. Uwierzył, że to, co robi, nie jest niczym złym. Bo jeżeli ten ksiądz tak mówił, którego mama słuchała... I wtedy nagle niebo spadło mu na głowę, wtedy został sam. Wtedy, kiedy czarna jak smoła woda zamknęła się mu nad głową jak wieko trumny. I wtedy, nie mogąc już nic wykrzyczeć, bo usta i płuca miał pełne wody, jeszcze tylko pomyślał: mamó, czemu mnie opuściłaś...?

Wyobraziliście to sobie?

To teraz wyobraźcie sobie na miejscu tego księdza aktywistę gender.

Taka gmina

Andrzej Wirkus wygrał wybory na wójta, bo nie miał ich z kim przegrać – był jedynym kandydatem. Poprzedni wójt – Wiktor Irzykowski załazł już tak demosowi za skórę, że nie zgłosił swojej kandydatury. Wiedział, że gdyby to zrobił, mieszkańcy pozrywaliby jego plakaty wyborcze i wepchnęliby mu je do gardła. Przez ostatnią kadencję nagrał sobie u nich do tego stopnia, że w niedzielę wyborczą zrezygnował nawet z pójścia na mszę. Co prawda z proboszczem miejscowej parafii wciąż utrzymywał dobre, żeby nie powiedzieć, zażyłe stosunki, ale miał pewne obawy, że co bardziej wyrywni wyborcy spotkawszy go w kościele, mogą go chcieć utopić w aspensorium. Nawet względnie lojalni chłopcy z Ochotniczej Straży Pożarnej dali mu do zrozumienia, że pora na zmiany na wójtowym fotelu w urzędzie gminy.

Irzykowski po raz pierwszy wygrał osiem lat wcześniej, gdy wystartował z pozycji przewodniczącego rady gminy Tyłowo. Radnym był przez osiem lat, dwa razy po cztery lata, gdyż tyle wówczas trwała kadencja samorządów lokalnych. Samorzady na początku nowego

wieku dość powszechnie postrzegane były, w przeciwieństwie do władz centralnych, jako efektywne, nowoczesne i umiejętnie wykorzystujące środki finansowe z Unii Europejskiej, najpierw przedakcesyjne, a później z różnych europejskich funduszy. Wiktor od początku dostrzegł nadarzającą się okazję.

Urodził się na Kaszubach, ale jego ojciec Karol był Kaszubą wszczepiennym, jak sam lubił siebie określać. W połowie lat sześćdziesiątych Karol Irzykowski dostał skierowanie do pracy w radzie narodowej w Kartuzach z ramienia Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego – przystawki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w ramach tak zwanego Frontu Jedności Narodu. Kartuzy były wtedy małym podupadłym miasteczkiem, chociaż z bogatą przeszłością historyczną. Obszar miasta położony nieco na uboczu szlaku bursztynowego do dzisiaj nie może się poszczycić zbyt wieloma artefaktami z epoki brązu czy późniejszych okresów niemrawego zasiedlania tych ziem. Kartuzy zawdzięczają swą nazwę i powstanie zakonowi kartuzów, którzy zainteresowali się praktycznie niezamieszkałym terenem już w XII wieku. Szybko znalazł się fundator przyszłego klasztoru, szlachcic kaszubski Jan z Rusocina (Rózęcina), który pobudował także pierwsze budynki dla zakonników. Kościół został konsekrowany w 1403 roku.

Zasady zakonu kartuzów oparte były na regule św. Benedykta: zakonnicy byli jaroszami, odżywali się do siebie tylko w pałacej potrzebie, stronili od innych ludzi. Ich ascetyczny tryb życia ciekawił, pociągał i co typowe dla średniowiecza, przyciągał bogatych fundatorów, nie wyłączając zakonu krzyżackiego, który na co dzień krzywo patrzył na konkurencję w habitach. Hojność i szczodroblowość możnych nie była zupełnie bezinteresowna. Liczyli, że wsparcie skromnych zakonników przyniesie im chwałę na Ziemi i życie wieczne w raju dla vipów. W niespełna sto lat zakonnicy skupili ogromny majątek ziemski, liczne wioski, w tym na przykład niewiele wówczas znaczącą Gdynię. Byli także właścicielami wielu nieruchomości w Gdańsku.

Sześćset lat później Wiktor Irzykowski, kończąc studia na wydziale historycznym uniwersytetu, zafascynowany obrotnością zakonników, podjął decyzję o zrobieniu kariery w polityce. Gdy w Polsce nastąpił przełom polityczny, a socjalizm odsyłano do lamusa, Wiktor był nic nie znaczącym absolwentem uniwersytetu, z krótkim stażem w odrodzonym Niezależnym Zrzeszeniu Studentów. Szefowie tej organizacji studenckiej z Gdańska mieli dopiero zacząć swoje kariery polityczne: Paweł Adamowicz został na początek prorektorem UG, a Przemysław Gosiewskiego zniosło w rejon Porozumienia Centrum. Trzeci z działaczy NZS – Tomasz Posadzki zasiadł w fotelu prezydenta

Gdańska, opuszczonym przez Franciszka Jamroża, którego posadzono za przyjęcie łapówki od niemieckiej firmy. Kariery działaczy zrzeszenia wytyczyły Irzykowskiemu drogę jego własnej ścieżki życiowej. Jako szeregowy członek NZS mieszkający pod Kartuzami nie mógł jednak liczyć na intratną posadę, nawet w urzędzie marszałkowskim. Jego ojciec z kolei nie miał dobrych notowań u ludzi, którzy obsadzili właśnie władze powiatu. W tej sytuacji historyk postanowił zadowolić się podrzędną wówczas fuchą radnego, na co dzień pracując w szkole w Tyłowie.

Podpisał się pod listę jednego z kaszubskich komitetów wyborczych i ku swojemu zdziwieniu uzyskał najwyższą liczbę głosów. Ponieważ radę gminy tworzyli wiekowi tuziemcy, wójt Jan Richert, który niezależnie od układu sił w radzie gminy rozdawał różne funkcje, zaproponował Wiktorowi stanowisko przewodniczącego rady gminy. Nie była to ze strony wójta jakaś szczególna uprzejmość wobec młodego radnego. Po prostu starymi dziadami z rady nie mógłby orać, tak jak zamierzał to zrobić z młodziakiem. Okazało się, że młody radny nie tylko potulnie wykonuje wszystkie polecenia wójta, ustawia radnych, strofuje ich, kiedy tego wymaga dobro gmi... pardon, dobro wójta, ale także posiadając dobre wyczucie polityczne, pomaga Richertowi podejmować efektywne albo efekciarskie decyzje, w zależności od potrzeb. Irzykowski szybko się uczył

i już w drugiej kadencji, wciąż pełniąc funkcję przewodniczącego rady gminy, stał się nieformalną prawą ręką wójta.

W trakcie dwóch kadencji Wiktor układał sobie własny plan działania, który przekuł w program polityczny. Gdy było już wiadomo, że Richert nie będzie kandydował, Irzykowski zainwestował wszystkie oszczędności w kampanię wyborczą, która po raz pierwszy wymagała prowadzenia jej w amerykańskim stylu, także na takim zadupiu jak Tyłowo. I właśnie to obraźliwe określenie gminy stało się środkiem ciężkości programu wyborczego kandydata na wójta. W ciągu czterech lat ostatniej kadencji Wiktor jako przewodniczący rady jeździł w okresie przedakcesyjnym po Polsce i kilka razy wyjeżdżał także do państw Unii. Brał udział w różnych szkoleniach, które miały przygotować polskich polityków do efektywnego wykorzystywania unijnych pieniędzy. Gdy jego konkurenci nieskładnie mędzili o kłopotach rolników i konieczności zachowania tradycji polskiej wsi, on obstawił proboszcza, OSP i koło gospodyń wiejskich, roztaczając przed nimi świetlaną wizję Tyłowa pod jego rządami. Proboszczowi obiecał remont płotu wokół kościoła i cmentarza. Dla OSP, dzięki kontaktom ze swoimi niemieckimi odpowiednikami, sprowadził dar w postaci wysłużonego wozu strażackiego. Mimo że wóz miał kilkanaście lat, był w niezłym stanie technicznym, a już na pewno

o niebo lepszym niż wysłużony, rdzewiejący na potęgę polski star. Obietnica zatrudnienia w urzędzie dla Kingi Kobuz, córki szefowej koła gospodyń, załatwiła sprawę trzeciego filara gminnych rozgrywających. Proboszcz wygłosił stosowne kazanie, chłopcy z OSP jak dzieci cieszyli się z czerwonego mercedesa, a stara Kobuzowa rozpuściła plotkę, że najgroźniejszy konkurent Wiktora tłucze żonę. Konkurent żony co prawda nie tłukł, ale lubił wypić, a na wsi, jak to na wsi, skoro pije, to na pewno tłucze żonę i katuje psa. Taką wizję polskiej wsi przedstawiały wszystkie liczące się krajowe media i robiły to tak przekonująco, że zaczęli w to wierzyć nawet jej mieszkańcy.

Wybory Irzykowski wygrał już w pierwszej turze i od pierwszego dnia przystąpił do realizacji swoich zamierzeń wyborczych, co niekoniecznie musiało oznaczać realizowanie obietnic złożonych demosowi. Na początek zbliżył się do rządzącej wówczas w Warszawie koalicji, która, tak się korzystnie składało, miała także większość w urzędzie marszałkowskim, w którym dzielono unijne dopłaty. Wiktor przed 2004 rokiem czując dobrą koniunkturę, wysłał żonę na kursy efektywnego pozyskiwania unijnych środków finansowych. Żeby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, kazał żonie zatrudnić się w prywatnej firmie doradczej, która wyspecjalizowała się w składaniu wniosków o unijne dopłaty do inwestycji samorządowych. Ten manewr

pozwoili mu po pierwsze, ominąć oskarżenia o nepotyzm, które zapewne wytoczyliby konkurenci, gdyby zatrudnił żonę w urzędzie na stanowisku specjalisty do spraw finansowych lub inwestycyjnych. Po drugie, zapewnił w ten sposób małżonce prawie trzykrotnie wyższe wynagrodzenie, niż to, które mógłby jej zaproponować jako urzędnicze. Pozostała jeszcze kwestia wyboru firmy żony do prowadzenia spraw związanych z pozyskiwaniem dopłat. Ten problem rozwiązał przy pomocy prawnika, którego poznał na szkoleniach i z którym parę razy zabalowali, snując plany na przyszłość. Podczas pierwszej popijawy okazało się, że Jarek Dembowski był także czołowym działaczem NZS, więc panowie szybko przypadli sobie do gustu. Dembowski kręcił się od dłuższego czasu przy urzędzie marszałkowskim. Znajomość z nim stanowiła dobrą inwestycję, w sytuacji gdyby jakiś nadgorliwy urzędnik zaczął znajdować błędy we wnioskach przygotowanych przez firmę żony Wiktora.

Podczas pierwszej kadencji Irzykowski uczył się sprawowania urzędu, badania i analizowania tego, co może, kiedy może i jak długo może. Postanowił testować możliwości finansowe, realizując inwestycje, których od dawna domagali się mieszkańcy. Nie to, żeby miał ochotę przychylić im nieba i przekształcić Tyłowo w nowoczesną wieś, jakich wiele oglądał w nadreńskich niemieckich powiatach. Na razie miał zamiar zapalić

świeczkę Panu Bogu. Z diabłem miał zatańczyć później.

Pierwszą znaczącą inwestycją Wiktora był remont drogi gminnej od popegiecerowskiego osiedla do szkoły. Firma żony przygotowała stosowne dokumenty, Jarek szepnął komu trzeba, żeby przychylnym okiem ocenić wnioski o dofinansowanie, i po dwóch miesiącach Irzykowski z dumą obwieścił radnym, że otrzymali dofinansowanie. Pozostała sprawa wyboru wykonawcy zgodnie z prawem zamówień publicznych. Stosowne dokumenty także przygotowała firma małżonki. Na tydzień przed ogłoszeniem przetargu, wójta odwiedził w gabinecie szef firmy budowlanej Albin Furtok. Określenie odwiedził jest o tyle usprawiedliwione, że, jak się okazało, nie była to zwykła kurtuazyjna wizyta, ale spotkanie, które miało dać początek okresowi długoletniej i owocnej dla obu rozmówców współpracy.

Furtok był przed zmianą ustroju pracownikiem jednej z państwowych firm budowlanych. Gdy prywatyzowano jego firmę, sobie tylko znanym sposobem za grosze kupił maszyny budowlane postawionego w stan likwidacji przedsiębiorstwa. Kiedy członkowie Solidarności dowiedzieli się, jaką kwotę zapłacił Furtok za kilkuletnie koparki i samochody ciężarowe, dostali szału. Nic nie wskórali, bo byli komuniści właśnie ponownie doszli do władzy w Warszawie. Albin przyssał się tymczasem do samorządów, podobnie jak Wiktor wyczu-

wając, że te niedługo będą dysponować sporą kasą i co ważniejsze, sporymi gruntami, które będzie można kupić po atrakcyjnej cenie, o ile wcześniej wyrobi się odpowiednie znajomości. Jego żona przez kilka lat przebywała we Włoszech i stamtąd przywiozła bogatą wiedzę o specyfice tamtejszego rynku budowlanego i usług komunalnych, w tym sposobach pozyskiwania kontraktów, których wartość opiewała na miliardy lirów. Furtok szybko przyswoił sobie wiedzę żony, kupił czarną, póki co jeszcze używaną beemę wersji siedem i kazal sobie uszyć dwurzędowy garnitur. Koszule i buty jak należy sprowadził z Włoch. Swoją firmę nazwał enigmatycznie MNT, co po latach złośliwi mieszkańcy województwa rozwijali w nazwę: Mamy Najdłuższe Terminy.

– Panie wójcie, pan Furtok – w uchylonych drzwiach stanęła młoda sekretarka, córka jednego z radnych.

– Proś, Weroniko, proś – Irzykowski podniósł się zza biurka, żeby przywitać gościa, o którym już zdążył uzyskać wiele ciekawych i ważnych informacji od swoich kontaktów w Trójmieście.

– Witam szanownego wójta! – jowialnie przywitał się biznesmen, wyciągając dłoń wielką jak bochen wiejskiego chleba.

– Dzień dobry. Kawa, herbata, może coś mocniejszego? – Wiktor pokazał ręką na skórzane fotele, w których zawsze sadzał ważnych gości.

– Chętnie wypiłbym z panem wójtem co nieco, ale niestety – rozłożył dłonie w geście bezradności – akurat dzisiaj sam prowadzę auto.

Furtok kłamał jak z nut, bo beemę zawsze sam prowadził, a służbowe auto z kierowcą, którym kłuł w oczy konkurentów i kontrahentów, wykorzystywał tylko na dłuższe trasy.

– Co pana do mnie sprowadza? – zapytał wójt, gdy sekretarka podała kawę.

– Wspólna sprawa, panie wójcie. Ale może przejdziemy na ty? Albin – Furtok ponownie wyciągnął bochen chleba, nie czekając na ewentualną zgodę na sfraternizowanie się ze strony swojego rozmówcy.

– Uhm, no... tak – Irzykowski był wyraźnie zmieszany – Wiktor.

– No więc posłuchaj, Wiktorze...

Przez pół godziny Furtok klarował wójtowi swoją propozycję współpracy, roztaczał wizję korzyści, jakie obaj mogą odnieść z kooperacji. Wójt chłonał wszystkie te wieści i oczami wyobraźni, między zdaniami wypowiedzianymi przez biznesmena, widział siebie w roli władcy, feudała zarządzającego podległą mu gminą. Małe to było księstwo, ale kto wie, dokąd prowadzą szczeble tej drabiny, na którą Wiktor właśnie zaczął się

wdrapywać. Mimo że propozycje Furtoka były klarowne i wprawiły słuchacza w dobry nastrój, Irzykowski zachował kamienną twarz, od czasu do czasu krzywił się nieznacznie, dając do zrozumienia, że jeden czy drugi pomysł mu się nie podoba, patrzył co jakiś czas w sufit, jakby tam poszukiwał odpowiedzi na dręczącego go wątpliwości. Cały ten teatrzyk miał ułatwić mu negocjacje i pokazać potencjalnemu partnerowi, że łatwo nie będzie.

– No dobra – zaczął zamyślony wójt, gdy biznesmen skończył przemowę – ale przecież są procedury przetargowe, kontrole, nadzór nad realizacją różnych inwestycji, a ty tymczasem przedstawiasz to tak, jakbyśmy obaj prowadzili prywatny biznes. Gmina to pieniądze publiczne, z całą restrykcją wydatków i nadzorem RIO. Tak samo środki unijne.

Wydawało się, że biznesmen chwilę się zastanawia, jakiej udzielić odpowiedzi swojemu rozmówcy.

„Cwaniaczek”, pomyślał Furtok. „Gada ze mną jak ten stary truteń, który był wójtem przed nim. Ale mnie nie przerobisz, synku. Wiem, że starą zatrudniłeś w firmie przygotowującej wnioski o dofinansowanie unijne i pewnie już kalkulujesz, ile na tym zarobisz”.

– Wiktor, prześpij się z tym, a jak będziesz chciał – Furtok położył wizytówkę na stole – zadzwoń. Dziękuję za poświęcony czas.

Biznesmen wyciągnął rękę, dając do zrozumienia, że spotkanie uważa za zakończone.

„Cholera, chyba źle to rozegrałem”, pomyślał Wiktor.

Postanowił jednak do końca grać twardziela.

– Wizytówkę zostaw mojej sekretarce. Ona łączy mi wszystkie rozmowy.

– Jasne – Furtok sięgnął po wizytówkę – Ładna ta twoja sekretareczka – mrugnął porozumiewawczo okiem.

– To tylko sekretarka! – Wiktor prawie krzyknął i poczuł, jak płoną mu policzki.

– A czy ja mówię coś innego? – biznesmen wzruszył ramionami. – To do zobaczenia, mam nadzieję.

Przez tydzień obaj mężczyźni kombinowali jak ponownie nawiązać kontakt, żeby nie postawić drugiego w lepszej pozycji negocjacyjnej. Pierwszy ruch wykonał wójt, który kazał sekretarce połączyć rozmowę z biznesmenem.

– Witam. Irzykowski z tej strony – zaczął formalnie. – Czy możemy się spotkać? Potrzebuję konsultacji doświadczonego przedstawiciela branży budowlanej.

Wiktor celowo unikał „tykania” swojego rozmówcy. Biznesmen postanowił podjąć grę i także zwrócił się do rozmówcy, unikając zaimka „ty”.

– To może dzisiaj po południu. Proponuję taką miłą knajpkę „Trzy gracie” w Gdańsku. Znam właściwiego człowieka, więc da nam stolik z dala od innych gości.

– Wolalbym unikania niezręcznych i dwuznacznych sytuacji. U mnie w urzędzie, jeżeli mogę zaproponować.

Furtok uśmiechnął się pod nosem.

– Oczywiście, ale najwcześniej w środę.

– Niestety w środę nie mogę, proponuję piątek.

Biznesmen prawie parsknął do słuchawki i tłumiąc śmiech, rzucił:

– Dobrze, będę w piątek około dziesiątej. Może być?

– Świetnie, wobec tego czekam.

Furtok zjawił się punktualnie w urzędzie gminy. Po przywitaniu, do czasu podania kawy, chwilę gadali o polityce. Obaj mówili ostrożnie, jakby nie chcąc, by ten drugi domyślił się, z jaką opcją polityczną są aktualnie powiązani.

Kiedy aromat kawy z ekspresu wypełnił pokój wójta, biznesmen zapytał:

– To w czym mogę pomóc?

– Sprawa jest taka. Muszę ruszyć z inwestycją drogową, ale za bardzo nie wiem jak się do tego zabrać. Nigdy gmina na taką skalę nie planowała inwestycji współfinansowanej przez Unię. Mam już za sobą procedury pozyskania środków, a teraz muszę wybrać

wykonawcę. W ramach badania rynku poprosilem więc o spotkanie z tobą, Albin, żebyś mi coś doradził w tej kwestii.

– Jaka jest wycena wartości inwestycji? – Furtok postanowił odrzucić wszystkie konwenanse i od razu przeszedł do rzeczy.

– Szacujemy wstępnie koszt na sześć–siedem milionów złotych.

– Pfu – Albin prychnął, kręcąc głową. – To ja ci chyba niewiele pomogę. Ja prowadzę inwestycje od trzydziestu baniek w górę... Nie moja skala, a to one decydują o właściwym – prawie przeliterował to słowo – prowadzeniu inwestycji.

– No ale może mógłbyś mimo to coś doradzić, znasz ludzi – Wiktor czuł, że traci grunt pod nogami.

„To nie są tanie rzeczy”, w pierwszej chwili miał ochotę powiedzieć biznesmen. Po chwili uśmiechnął się nieznacznie, bardziej do siebie niż do rozmówcy. „No dobrze, kombinuj, waść, kombinuj”.

– Będę ci bardzo zobowiązany – dodał wójt.

– Jasne, czego nie robi się dla przyjaciół.

Furtok przez dziesięć minut klarował Irzykowskiemu, w jaki sposób powinien podejść do kwestii zatrudnienia wykonawcy.

– No dobrze, ale sam mówiłeś, że twoja firma realizuje tylko większe kontrakty.

– Na początek mogę cię wspomóc, a potem sam zadecydujesz co dalej. Może tak być?

– Nooo... tak – Wiktor zastanawiał się naprędce, w co się właśnie pakuje – ale pozostaje kwestia rozstrzygnięcia przetargu. Cena. Wiesz, że o wejściu w kontrakt decyduje głównie cena.

– To już pozostaw mnie i moim specom od kalkulowania kosztów.

– A konkurencja?

– To też pozostaw mnie i moim specom od analizy konkurencji na rynku.

– Rozumiem. Czyli nie muszę się o nic martwić? Wszystko załatwiają twoi ludzie?

– A, nie, nie, kolego. Tak łatwo to nie wygląda. Ja ci zagwarantuję, że wygram z ceną, którą zaoferuję, ale ty musisz mi zagwarantować odpowiednie warunki realizacji inwestycji.

– To znaczy?

– Termin realizacji. Żadnych zapisów o dwuzmianowym systemie realizacji robót. I wszystkie soboty wolne. Rozumiesz – Furtok uśmiechnął się szelmowsko – muszę dbać o moich pracowników. Weekendy powinni spędzać z rodziną. Wiesz, ja sam jestem pro rodzinny. Rodzina – położył dłoń na rękę wójta – jest najważniejsza. Pamiętaj o tym.

– Mam wydłużyć termin realizacji?

– Teraz nie, ale nie wpisuj żadnych idiotyzmów o karach do umowy.

– Kary muszą być.

– I będą, ale jak będą egzekwowane, to już inna sprawa.

– To wymaga włączenia do sprawy jeszcze ze dwóch osób – Irzykowski szybko kalkulował.

– To się wliczy w koszty – skwitował Furtok. – I nałożysz też na mnie obowiązek poprawienia niedoróbek.

– O nich też już wiesz jeszcze przed rozpoczęciem kontraktu? – Wiktor był już szczerze ubawiony przebiegiem rozmowy.

Wszystko nie tak się zaczęło, ale od słowa do słowa rozmówcy podążali w tym samym kierunku, do tego samego celu.

– Oczywiście. Musisz zrozumieć logikę mojego działania. I swojego – dodał pośpiesznie – taką mam nadzieję. Robimy wszystko, czego wymagają przepisy, ale przepisy nie wymagają tego, żebyś przykręcał śrubę na maksa. Rozumiesz. Tego nie należy robić, bo można urwać gwint. Ty nakładasz kary i straszysz, ja protestuję i płacę, inwestycja jest zrealizowana, lud jest zadowolony. Tak to w skrócie wygląda.

– A jak będzie wyglądała nasza współpraca?

– Masz na myśli twoja i moja?

– Uhm.

- Trójpółówka.
- Że co?
- Trójpółówka. No, ty, wójt, nie wiesz, co to jest trójpółówka?
- Masz na myśli zasadę uprawy ziemi?
- Zasadę, jak sam zauważyłeś, ale nie chodzi o uprawy. Wygląda to w skrócie tak. Masz wieloletni plan inwestycyjny i tam wpisane różne inwestycje. Na dwie inwestycje dla ludu, nazwijmy je „populistyczne”, przypadać powinna jedna dalekosiężna, perspektywiczna, no taka... wiesz... – Furtok szukał właściwego słowa.
- Przyszłościowa.
- No właśnie. To inwestycja, dla której musisz znaleźć uzasadnienie, posługując się słowami wytrychami. Takie... no wiesz: perspektywa wieloletniego rozwoju gminy, z myślą o naszych dzieciach i kolejnych pokoleniach, przekształcanie nieużytków, poprawa atrakcyjności gminy dla mieszkańców i inwestorów... A właśnie, pamiętaj, żeby mieszkańców zawsze wymieniać na pierwszym miejscu. No takie: bla, bla bla, typu: teraz musimy zainwestować, żeby potem żyło nam się lepiej.
- A będzie się żyło lepiej? – Wójt podniósł brwi, oczekując wiążącej odpowiedzi od partnera.
- Nam na pewno. Ha, ha, ha!
- Jak rozumiem z tej trzeciej inwestycji, tej przyszłościowej, to my dwaj mamy być szczególnie

zadowoleni. Masz może jakieś propozycje? – Wiktor już nie mógł się doczekać skonsumowania dopiero co zawartego układu biznesowego.

– Aleś ty w gorącej wodzie kąpany. Ale dobra, niech będzie na początek naszej owocnej współpracy. Wpisz do WPI budowę drogi z Jaworna do Smolinki.

– Jaja sobie robisz. Przecież to droga przez pola i to w dodatku nierolnicze. Tam jest ziemia piątej klasy. Zwariowałeś? Kto mi to zatwierdzi?

– No to już twoje zmartwienie. Partnerzy w biznesie dzielą się obowiązkami. Chciałbyś tylko czerpać korzyści, bez ryzyka i pracy? Bez pracy nie ma kołaczy – Furtok pogrywał sobie coraz odważniej.

– Dobra, założmy, że przepchnę to przez radę gminy i dostanę środki. Na chuj mi tam droga łącząca jedno zabudowanie z drugim. Tam na jednym krańcu są dwa gospodarstwa, na drugim trzy. To pole należy do Behnkego. Wziął parę lat temu kredyt, bo chciał tam budować jakiś zajebisty kurnik, ale mu się partner odwinął i został z kredytem i odsetkami, bo mu bank odmówił zwiększenia kwoty.

– Wiem. Behnke był u mnie i skamlał, żeby wejść z nim w interes.

– I co? Wchodzisz?

– Czy ja jestem Himmler? Czy ja, kurwa, wyglądam na hodowcę drobiu? Złożyłem mu propozycję nie do odrzucenia?

– Jak ojciec chrzestny?

– Lepiej. Zaproponowałem, że wykupię jego dług, jeżeli mi sprzeda ziemię. Cały ten kawałek między Jawornem a Smolinką.

– Rozumiem, że cenę zaproponowałeś też odpowiednią – Irzykowski właściwie nie zapytał, a stwierdził.

– Biznes, kolego, biznes. Zaproponowałem mu trzydzieści procent wartości tego, czego oczekiwał.

– I...

– I ma o czym myśleć. Ha, ha, ha!

– Ale po co ci ten ugór?

– Inwestycje przyszłościowe. Zdawało mi się, że o tym mówiliśmy – Albin złożył dłonie i zakręcił młynka kciukami.

– Masz zamiar wybudować tam Disneyland albo aquapark?

– Ten teren, mój drogi, to jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt działek budowlanych po tysiąc, tysiąc trzysta metrów.

– Ale to jest... – wójt szukał odpowiedniego słowa – pieprzony Księżyc, tam nie ma prądu, wody...

– Dlatego jest tak tanio.

– Nie myślisz chyba, że ja...

– Myślę, tak właśnie myślę. A jak, kurwa, chcesz zarabiać? Czekać, aż ceny ziemi same pójdą w górę? To jest teoretycznie możliwe, ale szczęściu trzeba dopo-

móc. Pod pretekstem budowy drogi, oczywiście oświetlonej, dogadasz się z zakładem energetycznym, żeby postawili tam stację transformatorową odpowiednią do zasilenia docelowo sześćdziesięciu działek. Przy okazji te wieśniaki, które tam teraz mieszkają, będą ci wdzięczni, bo wreszcie skończą się ich problemy z prądem. Tak, mój drogi, ja twoją gminę znam lepiej niż ty!

Wiktor patrzył przez chwilę na biznesmena i zastanawiał się, czy nie wycofać się z interesu. Furtok okazał się już nie tylko cwany i przebiegłym graczem, ale w przyszłości mógł się okazać także niebezpiecznym. Albin, widząc zwątpienie na twarzy wójta, postanowił kuć żelazo póki gorące, tak, żeby partner się nie rozmyślił.

– Posłuchaj. Ziemię kupi ktoś nie powiązany ze mną i z tobą. Rozpocznie rozmowy o wybudowaniu tam fabryki, no jakiegoś zakładu... Chuj tam jakiego, nie przerywaj, słuchaj. Będiesz miał podkładkę dla zakładu energetycznego pod trafostację. To będzie też podkładka pod drogę, świetlane perspektywy dla mieszkańców, zatrudnienie itd. Wprowadzasz inwestycję do WPI, a ja zbuduję, co trzeba. Jesteśmy zarobieni podwójnie. Raz na budowie, drugi na sprzedaży ziemi pod działki. Już uzbrojone...

– Jak to uzbrojone?

– Będzie droga? Będzie. Energetycy postawią stację? Postawią. A ty obiecasz mieszkańcom, że

doprowadzisz im wodociąg, bo to warunek pobudowania tam zakładu pracy. I wtedy właściciel się rozmyśli i sprzeda ziemię. Nowy właściciel... Co? Nieważne kto, ktoś. Kupi ziemię i podzieli na działki. Wiesz, o ile procent wzrośnie cena za metr kwadratowy, gdy będzie tam droga, prąd i woda? Wiesz, ile będziemy zarobieni?

– My?

– My. Sprzedam ci cztery działki po cenie, w jakiej kupię od Behnekego. Takie dalej położone od drogi, żeby nie podpadało. Najlepiej jak je weźmiesz na kogoś. Ale możesz też kupić sam.

– Ile możemy zarobić na jednej?

– Tyle – Furtok napisał coś na kartce i podsunął pod nos wójta.

– O kurwa! Poważnie?

– I to bez uwzględnienia wzrostu cen ziemi w ciągu, no powiedzmy, sześciu–ośmiu lat.

Pierwsza inwestycja gminna była poligonem doświadczalnym dla obu bohaterów. Wykonawca – firma Furtoka, wywiązała się bez zarzutu z terminu i realizacji robót. Niewielkie uchybienia w jakości wykryte przez inspektorów nadzoru budowlanego skutkowały koniecznością wykonania poprawek i nałożenia niewielkiej kary. Podobnie przebiegała realizacja drugiej, polegającej na budowie nowego przedszkola. I tym razem wójt pogroził wykonawcy palcem. Była to inna firma

o dźwięcznej nazwie „Dzwon”. Należała do szwagierki Furtoka, która pełniła w niej rolę słupa. Rodzinnego, ale jednak słupa.

Rok później Irzykowski rozpoczął urabianie rady gminy. Część radnych miał za sobą, część musiał przekonać w drodze handlu wymiennego: Ty mi swój głos poparcia, ja ci pozytywnie rozpatrzę podanie, warunki zabudowy, zaopiniuję wniosek zgodnie z oczekiwaniami. Klientyzm zaczął już wydawać pierwsze owoce. Po roku inwestycja pod nazwą: „Budowa drogi gminnej z Jaworna do Smolinki wraz z linią energetyczną i wodociągiem” weszła do WPI. Dzięki dofinansowaniu została zrealizowana do końca pierwszej kadencji Irzykowskiego.

Ogłaszając program wyborczy na kolejną kadencję, wójt obiecywał kontynuację szeroko zakrojonego programu inwestycyjnego. Początkowo nie zwrócił uwagi na nowego radnego, który wygrał wybory, uzyskując mandat trzech sołectw. Noc wyborczą Wiktor spędził w towarzystwie syna Furtoka – Antka, bo jego ojciec, rozkręciwszy w ostatnich latach interes, w związku ze zmianą władzy w Warszawie musiał czasowo przenieść się do stolicy, żeby urobić kogo trzeba tak, aby interes dalej kręcił się ku zadowoleniu każdej ze stron. Patent na dobre stosunki z władzą Furtok miał prosty. Znaczącą część zysków z ostatniego roku inwestował po obu stronach politycznej barykady. Niezależnie od tego, kto

wygrywał wybory, on zawsze miał politycznych dłużników. Koszty tych inwestycji politycznych odbijał sobie później w czasie kolejnej kadencji. Nigdy nie prowadził rozmów z ludźmi ze świecznika. Zawsze negocjował z drugim garniturem – wiadomo, interesy nie lubią hałasu.

Ponieważ Albin przymierzał się do realizacji dużych inwestycji na drogach krajowych i ekspresowych, jego syn przejął mniejsze inwestycje lokalne. Nie miał jednak zmysłu ojca do interesów. Był typowym gówniarzem z bogatego domu, któremu sukces starego i nieograniczony dostęp do dużych pieniędzy przewróciły w głowie. Zachorował na powszechną dla pewnego gatunku osobników przypadłość, którą ludzie nazywają lepkiemi rączkami. Tak nazywa się tych, którzy sami, własną pracą, czy choćby ryzykanctwem, wychodzeniem znajomości, układów nie doszli do dużych pieniędzy, ale dorobili się w rezultacie ewidentnego przekrętu. Przejawiają skłonności do traktowania swojego otoczenia jak własnego prywatnego folwarku. Ich postawę można streścić słowami: Jestem bogaty, no nie? No to mi, kurwa, wszystko wolno.

Pławiąc się w luksusach, jakie zapewniały mu spryt i pieniądze tatusia, Antek rozbijał się drogimi wozami. Zawsze z jakąś, nie zawsze pełnoletnią, pindulą u boku, w drogich, lecz rzadko gustownych ciuchach, wyglądali jak młodsza wersja małżeństwa Majdanów. Bywał na

przyjęciach dla vipów, ale za zaproszenia musiał płacić bająnskie sumy, bo dla półświatka znanych, chociaż niekoniecznie powszechnie lubianych, był nikiem. Lepsze towarzyszycho tolerowało go, a dokładniej rzecz biorąc, jego pieniądze, i pozwalało mu siadać koło siebie tak długo, jak stawał i pożyczał pieniądze. Na wspólne zdjęcia z aktorami i internetowymi pasożytami, nazywanymi nie wiedzieć czemu influencerami, zamiast parasitami, łowił małodaty, którym, jak to u małodatów powszechne, marzyło się światowe życie.

Swoją niewstydlivą, chociaż obciachową chorobą młody Furtok zaraził wójta. Początkowo Irzykowski sceptycznie odnosił się do współpracy z Furtokiem-juniorem (juniorkiem, jak złośliwie nazywali go współpracownicy ojca). Gdy ten zabrał go ze sobą na imprezę w Sopocie, na której zadawał szyku między artystami i dziennikarzami, prostemu wójtowi tak spodobało się to targowisko próżności, że całkowicie zatracił głowę i rozsądek dla młodego kompana. Noc spędzili wspólnie w hotelowym pokoju, w towarzystwie czterech panienek.

Antek zjawiał się mniej więcej raz na kwartał w urzędzie gminy, by razem ustalać strategię na kolejne miesiące. Młody, żyjąc na wysokich obrotach, wspomagając się dopalaczami i chcąc zaimponować ojcu, miał plan podwojenia przychodów spółki, która działała na lokalnym rynku. Po ojcu nie odziedziczył jednak sprytu

i cwaniactwa. Nie uczestnicząc w „negocjacjach” ojca z kontrahentami, był przekonany, że najlepszym sposobem na biznes jest metoda „na rympał”. Co gorsza, do zastosowania tej metody przekonał Irzykowskiego. Najpierw postanowili odwrócić istotę trójpółówki, zamieniając jedną lewą inwestycję na dwie, by po roku dojść do wniosku, że właściwie z każdej inwestycji należy im się wiano. Ponieważ obaj zasmakowali w światowym życiu, łatwych pieniądzach i równie łatwych pannienkach, stracili czujność i rozwagę. Realizacji wątpliwych z punktu widzenia mieszkańców inwestycji towarzyszyło coraz powszechniejsze brakoróbstwo i wydłużanie w nieskończoność robót. Potem przyszła kolej na inwestycje, które mieszkańcom były potrzebne jak umarłemu kadzidło, ale za to pięknie wpisywały się w ideologiczne i propagandowe działania Unii Europejskiej i rządzących w Polsce. Wybudowano więc drogę rowerową z Tyłowa do skrzyżowania z drogą krajową i tam połączono ją z odcinkiem innej drogi rowerowej, której długość miała całe osiemset metrów. Wójt przy wsparciu biurokratów z urzędu marszałkowskiego tłumaczyli zgodnie mieszkańcom, że jest to fragment większej inwestycji sieci dróg rowerowych w województwie. Kiedy owa sieć miałaby powstać, nikt nie wiedział. Na drodze rowerowej znikąd donikąd od czasu do czasu spacerowały wiejskie kundle, a miejscowe menele mogły względnie bezpiecznie chadzać

do sklepu po wino. Pytanie jednego z radnych „Czy nie efektywniej byłoby wydać te pieniądze na przebudowę i udrożnienie dwóch korkujących się skrzyżowań?” pozostało bez odpowiedzi.

Antek twórczo rozwinął koncepcję ojca cięcia kosztów. Zwolnił połowę ludzi, a tymi, którzy zostali, obsługiwał rotacyjnie dwie, trzy inwestycje. Nawet gdy miał wpisane w kontrakcie, że roboty mają być prowadzone w systemie dwuzmianowym oraz w święta, uzgadniał z nadzorującymi urzędnikami inwestora, których miał na utrzymaniu, że gdyby media zainteresowały się sposobem realizowania prac w systemie jednozamiast dwuzmianowym, zrzuci się wszystko na karb danego etapu procesu technologicznego. Najczęściej sprowadzało się to do stwierdzenia, że „na placu budowy nie ma ludzi, bo beton musi związać”. Media niespecjalnie interesowały się sposobem realizacji inwestycji, mimo że mieszkańcy kłękali na przeciągające się terminy. Dziennikarze zamiast dochodzić prawdy, oddawali się radośnie politycznym wojnom plemiennym, a po parapandemii większość z nich zaczęła de facto uprawiać medialnie najstarszy zawód świata.

Pierwszym ostrzeżeniem dla wójta były interpelacje niektórych radnych, w tym nowego młodziaka reprezentującego trzy wsie. Niewiele wskórali. Jakiś czas potem ciągnący się ponad pół roku remont drogi gminnej w Tyłowie w ciągu drogi wojewódzkiej, który, jak

twierdzili upierdliwi dziennikarze, powinien trwać trzy tygodnie, wkurwił nie tylko mieszkańców gminy, ale też i całego powiatu. Samorządowcy z powiatu ślali umyślnych do wójta, ale nic nie wskórali, bo ten zasłaniał się ekspertyzą (którą kupił mu Antek). Wynikało z niej, że ze względów technologicznych prace powinny trwać siedem miesięcy. Wtedy dziennikarze postanowili zdetonować ładunek informacyjny. Nagrali program z udziałem ekspertów z politechniki, którzy obśmiali ekspertyzę wójta, a jej autora nazwali nieukiem, który nie tylko nie byłby w stanie zaprojektować drogi i nadzorować procesu jej budowy, ale nawet nie potrafiłby wytyczyć ścieżki do gry w kapsle. Na sesji rady gminy młody radny grzmiał i żądał powołania komisji rady do zbadania wszystkich dotychczas realizowanych inwestycji. Chwilowo udało się go spacyfikować, ale widać było, że gnojek nie zamierza złożyć broni.

Na rok przed wyborami wójt, niejako na własne życzenie, wyleciał na minie. Do sieci przedostały się zdjęcia z jednej z imprez z udziałem Antka i Wiktora. Na kolanach Wiktora siedziały jeszcze nie do końca rozebrane siusiumajtki. Gdy wydawało się, że Irzykowski już udobruchał żonę, wymieniając jej auto na nowe, jedna z pańienek ogłosiła w lokalnej prasie wydawanej na Kaszubach, że pan wójt ma z nią dzidziusia, na którego ofiarnie łoży alimenty. Stara auto zabrała i zabrała też Wiktorowi dom, każąc mu się wynosić. Miesiąc

później Irzykowskiemu doręczono pozew rozwodowy. Tama pękła po raz drugi.

Sprawami inwestycji zainteresowała się prokuratura i na takie dictum wójt ogłosił, że nie będzie kandydował. Irzykowski zaszył się u matki, która mieszkała samotnie w popegieerowskim bloku.

Po wyborach nowego wójta Andrzeja Wirkusa odwiedził Furtok senior. Prokuratura umorzyła śledztwo, mimo że niektórzy dziennikarze wskazywali na ewidentne przekręty poprzedniego włodarza. Albin siedział u wójta do późnych godzin nocnych.

– No dobra – podsumował Wirkus rozmowę – ale twój syn już tu jest spalony.

– Nie szkodzi. Mam jeszcze córkę, a ona nosi nazwisko męża.

Taki w tej bujdzie morał można brać
Że nie wiadomo kogo bardziej trza się bać
Czy tego wójta co na ludzi grzmi
Czy tych facetów z całkiem innej wsi⁹

⁹ W. Młynarski, A wójta się nie bójta.

Murzynek Bambo

Spotkanie poety Juliana Tuwima i ministry edukacji Barbary Nowackiej w sprawie włączenia wiersza pt. *Murzynek Bambo* do *Elementarza* dla klas pierwszych. (Na motywach tekstu kabaretowego Juliana Tuwima pt. *Chytry naród. Scena historyczna*).

Nowacka: Witam gorąco wielkiego lewicowego poetę. Cieszę się, że przyjął mistrz zaproszenie w nasze skromne progi.

Tuwim: Mnie również jest bardzo miło, szanowna pani minister.

Nowacka: Ministra, mistrzu. Teraz stosujemy feminatywy dla każdego stanowiska służby publicznej.

Tuwim (po chwili krepującego milczenia): Feminatywy, powiada pani. To interesujące. Słowo ministra pochodzi z łaciny i do niedawna oznaczało służącą. Jak brzmią feminatywy dla takich stanowisk, jak prezydent, kapitan, dziekan? (wyjmuje wysłużony notes i pióro wieczne). Bo wie pani, ja zawsze zapisuję sobie różne dziwolągi językowe. To jest bardzo przydatne dla poety.

Nowacka: Eee... noo... hm... Później, mistrzu. Teraz chciałabym porozmawiać z panem o wierszu *Murzynek Bambo*, który planujemy włączyć do *Elementarza* dla pierwszaków, pierwszaczek i pierwszaków.

Tuwim: Pierwszaków? To jacyś potomkowie pilota Pirxa?

Nowacka: Eee... noo... uuu... To dzieci, które nie mają określonej jednoznacznie płci. Nasza nauka dowiodła, że płci jest pięćdziesiąt cztery.

Tuwim: A nie pięćdziesiąt trzy?

Nowacka: Możliwe. Jak pan widzi, to wszystko tak się dynamicznie zmienia.

Tuwim: Fakt, bardzo dynamicznie. No ale wróćmy do mojego *Murzynka Bambo*.

Nowacka: Właśnie. Zacznę od tytułu. Trzeba go będzie zmienić. Nie możemy Bambo nazywać Murzynkiem.

Tuwim: Ale z faktu, że jest to Murzynek, wynika cała treść wiersza: że jest to mały chłopiec z murzyńskiej wioski, psotnik, taki sam jak chłopcy w Polsce, chociaż o innej karnacji skóry. Wie pani, ja tak sobie pomyślałem, że dzieci powinny wiedzieć, że wszystkie dzieci są takie same, bez względu na kolor skóry, a dopiero potem różnice kulturowe...

Nowacka: I o to się właśnie rozchodzi, panie Tuwimie. Nie mówimy dzisiaj Murzyn, bo to jest dla nich

obraźliwe. Podkreśla rasę, pochodzenie, a nie to, kim naprawdę jest i kim się czuje dana osoba.

Tuwim: Obrażliwe? A jak mam wobec tego określić małego mieszkańca Afryki o czarnej skórze?

Nowacka: A po co w ogóle określać kolor skóry? To opresyjne słowo (przerywa na chwilę, bo Tuwim coś zapisał w notesiku). Może być na przykład Senegalczyk Bambo albo Nigeryjczyk Bambo.

Tuwim: Nieśmiało muszę zwrócić pani uwagę, że wtedy rytm zostanie zaburzony i cała treść wiersza będzie musiała ulec zmianie.

Nowacka: No właśnie, do treści też mam pewne uwagi. Weźmy pierwsze dwa wersy: Murzynek Bambo w Afryce mieszka, czarną ma skórę ten nasz koleżka. Nu, o tym ja już mówiła. Czarna skóra to niedobra jest o tym mówić, podkreślać. Musi pan tu coś zmienić.

Tuwim: Mam go przerobić na Chińczyka?

Nowacka: To pan jest poetą, ja jestem ministram i znam się na swojej robocie. A tu kolejne dwa wersy, panie Tuwim: Uczy się pilnie przez całe ranki, ze swej murzyńskiej Pierwszej czytanki. To ja się pytam pana: Dlaczego dzieci mają wszystkie poranki ślęczeć nad książkami? To jest niemoralne, panie Tuwim, tak dzieci zmuszać do odrabiania lekcji i pograżania się w lekturze już od samego rana. Dzieci powinny mieć szczęśliwe dzieciństwo, bez stresu, który wpędza je w depresję.

Tuwim: To kiedy będą się uczyć? Po nocach?

Nowacka: Tym już my się zajmiemy, poeto, a pana prosimy, żeby w swoich wierszach nie sypał pan nam piachu w tryby naszej maszyny edukacyjnej.

Tuwim (zrezygnowany): Dobrze, czy coś jeszcze?

Nowacka: Kolejne wersy: A gdy do domu ze szkoły wraca, psoci, figluje – to jego praca. No to jeszcze jakoś by uszło, ale dlaczego sugeruje pan, że mieszkańcy Afryki tylko psocą i figlują? Że to niby ich praca?

Tuwim: Ależ to jest małe dziecko!

Nowacka: No tak, pan niby pisze o dziecku, a w domyśle: wszyscy Murzyni to banda nierobów i próżniaków. Pan, panie Tuwim, chce się przysłużyć rasistom, którzy tylko czekają na taką gratkę, żeby zacytować wielkiego polskiego poetę i wykorzystać to jako aluzję do otwierania przez nas granic dla emigrantów z Afryki.

Tuwim: Ależ nic takiego nie przyszło mi do głowy, ja sam przecież emigrowałem...

Nowacka: Z objąć twych nad ranem...

Tuwim (zdziwiony): Proszę?

Nowacka: Nic, nieważne. Kolejny fragment: Mama powiada: „Chodź do kąpielii”, a on się boi, że się wybieli. Panie poeto. Mistrzu! Tak nie wolno! Inna karnacja skóry niż biała jest dzisiaj powodem do dumy! BLM, czy to coś panu mówi?

Tuwim: Ale to przecież tylko taki niewinny żart. To jakaś pomyłka!

Nowacka: Pomyłka? A w Charkowie dali dwóm mężczyznom ślub i wszyscy mówili: Pomyłka, pomyłka. No i po roku urodziły im się bliźniaczki.

Tuwim: Chyba nie rozumiem...

Nowacka: Zostawmy to już. Ostatnia sprawa: Szkoda, że Bambo czarny, wesoly, nie chodzi razem z nami do szkoły. O, i to jest w porządku, mistrzu, ale reszta... To pan... no to się wszystko musi zmienić.

Tuwim: Ma pani rację: To się wszystko musi zmienić!

Włodek

Dziedziczność cech psychopatycznych szacuje się na około czterdzieści do sześćdziesięciu procent. Oznacza to, że mniej więcej połowa różnic w nasileniu tych cech między ludźmi wynika z czynników genetycznych, a druga połowa z czynników środowiskowych (głównie nie współdzielonych, czyli indywidualnych doświadczeń), a nie wspólnego wychowania w tej samej rodzinie. Geny dają więc predyspozycje do bycia psychopatą, a środowisko może ją osłabiać lub wzmocnić.

Podobnie diagnozuje się skłonności socjopatyczne. Uważa się, że geny mogą odpowiadać za około pięćdziesiąt procent przypadków społecznych zachowań. Za resztę odpowiada środowisko danego osobnika.

Z kolei szacunkowe wyniki badań wskazują na nad-reprezentację cech psychopatycznych lub socjopatycznych wśród polityków i elit władzy w porównaniu do jednego procenta charakterystycznego dla ogółu w społeczeństwie. Takie badanie prowadzono między innymi w Waszyngtonie. Badania wskazały też na pozytywne

korelacje niektórych cech psycho- i socjopatycznych z sukcesem politycznym. Władza przyciąga osoby z takimi predyspozycjami, ale nie każdy polityk jest psychopata. Wiele zależy od kontekstu kulturowego i systemu politycznego.

Piszę o tym ponieważ w Polsce przez media społecznościowe co jakiś czas przewala się tsunami wyzwisk i insynuacji, w których określonym ludziom wyciąga się życiorys ojca, matki, dziadka, babki et cetera. Zwolennicy dziedzicznego obciążania grzechami potomstwa za każdym razem triumfują, pisząc: Ha! Wiadomo! Jego ojciec był... Przeciwnicy pukają się w głowę, odpisując: Jesteś chory z nienawiści. Od kiedy to dzieci ponoszą karę na grzechy przodków?

Rzecz dotyczy nie tylko polityków, ale w ogóle osób publicznych. Problem jest nierozstrzygalny, ponieważ to co dla jednych jest nie do przyjęcia z moralnego punktu widzenia, dla innych ten sam przypadek nie stanowi zachowania naganego z tego samego powodu. Jedni będą wyolbrzymiać pewne cechy osób, którym są niechętni i równocześnie będą umniejszać wady swoich pupili. Samo życie.

Mnie martwi co innego. Ludność Zachodu dała sobie wmówić, że polityką należy żyć nie tylko od wyborów do wyborów, ale także na co dzień. Zacytuję Sir Rogera Scrutona, który jeszcze w 2002 roku w pewną dumą pisał: „Cywilizacja zachodnia składa się ze

społeczeństw, które spaja ze sobą proces polityczny wraz z określonymi przez ten proces uprawnieniami i obowiązkami obywateli. Paradoksalnie, istnienie procesu politycznego pozwala nam żyć bez polityki. Zrzuciwszy brzemień rządzenia na barki wskazanych przez konstytucję urzędów sprawowanych sukcesywnie przez ludzi, którzy służą swoim wyborcom, a nie są ich panami, możemy poświęcić się sprawom naprawdę ważnym: prywatnym interesom, osobistym zamięłowaniom i obyczajom społecznym, z których czerpiemy satysfakcję. Innymi słowy, polityka umożliwia rozdział między społeczeństwem i państwem, a tym samym usunięcie polityki z naszego życia prywatnego. Tam, gdzie nie ma procesu politycznego, te dwie sfery nie wyodrębniają się. W państwie totalitarnym lub w dyktaturze wojskowej wszystko jest polityczne właśnie dlatego, że nic nie jest polityczne. Tam, gdzie nie ma procesu politycznego, cała rzeczywistość znajduje się w kręgu zainteresowania władzy, ponieważ wszystko stanowi dla niej potencjalne zagrożenie”.¹⁰

W takim państwie, gdzie całe życie prywatne toczyło się wokół polityki Polacy żyli, z mniejszym lub większym natężeniem, na przestrzeni czterdziestu pięciu lat począwszy od 1944 roku. Państwo i politycy znów wkroczyli w naszą sferę prywatności, tym razem

¹⁰ R. Scruton, *Zachód i cała reszta*. Wydawnictwo „Zysk i S-ka”, Poznań, 2003, s. 24-25. tłum. T. Bieroń.

pod pozorem ochrony różnych mniejszości przed większością. Z tym, że chwilowo ta większość znów jest w mniejszości, ale to niczego nie zmienia. Zakres ingerencji i poziom zamordyzmu rośnie. Liderem zamordyzmu jest na razie Wielka Brytania, ale polscy politycy, bez względu na polityczne totemy, nie tylko im sekundują, ale też wprowadzają ten zamordyzm krok po kroku w kraju. Demos w Polsce dał się podzielić. Granica, którą wyznacza wsparcie dla określonych partii, przedzieliła już całe rodziny. Możemy, po latach, już z innej okazji, znowu śpiewać razem z Kazikiem Staszewskim:

Mój dom murem podzielony,
Podzielone murem schody,
Po lewej stronie łazienka,
Po prawej stronie kuchenka.¹¹

Gdy miałem może z dziesięć lat, z kolegą z klasy Włodkiem – synem dość wysoko postawionego członka KW PZPR, raz zgadalem się na szkolnym boisku.

Na naszym pięknym Osiedlu Młodych stężenie członków partii na metr kwadratowy było większe niż w innych dzielnicach Gdańska z prostego powodu. Osiedle powstawało jako miejsce zamieszkania ludzi

¹¹ Kult, Arachia (śl. Kazik Staszewski).

młodych, którzy sami wzięli sprawy we własne ręce i postanowili zagospodarować ten piękny kawałek terenu po dawnym stalagu. W „Dzienniku Bałtyckim” pisano: „Jednym z założycieli spółdzielni był, wówczas dwudziestotrzyletni, Jerzy Koreń, który w roku 1957 został gdańskim delegatem młodzieżowym I Wojewódzkiej Konferencji Związku Młodzieży Socjalistycznej, która odbyła się w Gdańsku. Na konferencji wystąpił z wnioskiem mandatu Osiedla Młodych. Wniosek został przyjęty i uchwalony. W czerwcu Komitet Wojewódzki ZMS podjął decyzję o zorganizowaniu spółdzielni „Osiedle Młodych”(…) Jak wspominał pan Koreń: «Dużą pomoc prawną i organizacyjną udzielił nam Związek Spółdzielni Mieszkaniowych w Warszawie i osobiście prezes p. Kasperski». Pierwszymi założycielami spółdzielni była grupa młodych ludzi, którzy parli do różnych zawodów”. Tyle z oficjalnej prasy PRL.

Jest faktem, że znaczna część młodych ludzi, musiała zapłacić po prostu zapłacić haracz, wstępując do partii, jeżeli chcieli wyrwać się z nor Oruni i małych pokoiaków wynajmowanych mieszkań Wrzeszcza i Oliwy. Jedni łączyli tę decyzję z podbudową ideową, innym ideologia powiewała w mniejszym lub większym stopniu. Była okazja – mus się załapać. Przez lata fakt przynależności do partii matuszki nie wpływał na stosunki sąsiedzkie na osiedlu. Skurwysyny zasilaly zarówno szeregi partii jak i bezpartyjnych, i od nich wszyscy

mieszkańcy trzymali się z daleka. Linia podziału społecznego nie przebiegała wówczas, jak dzisiaj, wzdłuż granic poglądów politycznych.

Z Włodkiem, jak wspomniałem, zgadaliśmy się pewnego dnia łażąc wkoło szkolnego boiska po bieżni przeznaczonej bardziej do ćwiczeń fizycznych niż umysłowych. Włodek był mi ani brat, ani chwat, zwłaszcza od zabaw wszelakich, a już zupełnie nie od zwierzeń. Ale zgadało się i w całe dziesięć minut dokonaliśmy krytycznej analizy problemu: Czy Ruskich należy szanować, czy nienawidzić? Wnioski były stosowne do naszego niedorozwoju umysłowego dziesięciolatków, poddanych propagandowemu oddziaływaniu: od Czterech Pancernych i Psa począwszy, skończywszy na TPPR-owskich legitymacjach, które wręczono nam uroczyście, nie pytając się nas o zdanie. Te dziesięć minut przerwy między lekcjami wystarczyło mnie i koledze na wyciągnięcie błyskotliwego wniosku: Ruscy to co prawda chuje, ale ginęli na polskiej ziemi, tak, że ten, tego. Do dzisiaj nie wiem czym miały być „ten i tego”.

Z Włodzimierzem jeszcze tylko raz „zgadaliśmy się” w szkole, mimo, że chodziliśmy do tej samej klasy. Pewnego dnia wracaliśmy bandą do szkoły opychając się drożdżówkami z serem kupionymi w cukierni Knittera, i Włodek, zaprosił nas do domu (mieliśmy po drodze), żeby nam pokazać. Pokazał nam to, co jego stary kitrał w szufladzie. A miał tam czasopisma z paniami

w nieprzystojnych pozach i pozycjach. Panie z kolei pokazywały to, co miały między nogami. Nie spodobało mi się to wówczas i przez pewien czas zastanawiałem się nawet, czy baby w ogóle mi się podobają. Gdy dostaliśmy nową polonistkę, moje zwątpienie rozwiało się jak wczorajsza mgła. Dla porządku, polonistka nie pokazała mi nic z tych rzeczy, o których pomyśleliście. Zachęcała nas natomiast do pisania wypracowań i to jej zawdzięczacie to, że czytacie to opowiadanie.

Kontakt z Włodkiem, tak jak z większością kumpli, urwał mi się, gdy dostąpiliśmy łaski zakończenia podstawówki. Spotkałem go kilka lat później podczas strajku studentów w 1989 roku. Główna siedziba strajkujących ukonstytuowała się, podobnie jak w 1988 roku, na Wydziale Humanistycznym. I ja tam byłem, miodu nie pilem, ale miałem kamerę i kręciłem to, co widziałem. A widziałem niewiele ciekawego i jeszcze mniej tego, co mógłbym po latach z dumą pokazywać córce. Strajkujących, żądających ponownej rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów, do których i ja wszak się zaliczałem było tylu, co kot napłakał. To było jakieś *qui pro quo*, a nie strajk. W całym zamkniętym budynku było może z pięćdziesiąt osób w górnych stnach, kiedy miał zebrać się komitet strajkowy. W auli, gdzie podejmowano decyzję o ewentualnym kontynuowaniu strajku, jedną trzecią obecnych stanowił komitet strajkowy z Pawłem Adamowiczem na czele.

Z punktu widzenia kamerzysty, utrwalającego Historyczną scenę gratka nie lada. Z punktu widzenia strajkującego – żenada straszliwa. Wyraz podobnemu odczuciu dał jeden z członków komitetu, którego nazwisko pamiętam do dzisiaj, ale nie go napiszę, bo pewnie się wszystkiego wyprze. Wtedy, wodząc po prawie pustej auli wzrokiem rzucił do przewodniczącego komitetu: Kończ waść, wstydu oszczędź.

Dzisiaj, już po śmierci Adamowicza, ten człowiek przylącza się do chóru piewców byłego prezydenta Gdańska. Ja nie zamierzam. Bo pamiętam tamten strajk, pamiętam te nieskładne wypowiedzi przewodniczącego komitetu, pamiętam jak na fali zmian uczyniono go, świeżego absolwenta, bez żadnego dorobku naukowego i dydaktycznego, prorektorem, pamiętam jakim był marnym prezydentem i pamiętam te niedwuznaczne sugestie jego niedawnych kumpli z PO o małej gdańskiej Sycyli, gdy wystartował po raz kolejny do fotela prezydenta miasta w kontrze do namaszczonego przez Tuska Jarosława Wałęsy. Ten strajk był zapowiedzią tego, co miało stać się z polską polityką. Był Trzecią RP w pigułce. Wtedy tego nie wiedziałem, ale widzę to wyraźnie dzisiaj, po trzydziestu siedmiu latach. Film z tej żalostnej imprezy skasowała mi kiedyś żona, nagrywając na taśmie o wiele lepsze widowisko: „Samych swoich”.

Włodzimierz też brał wtedy udział na strajku. Gdy mnie zobaczył, niepytany poczuł się w obowiązku wyjaśnić koledze, co on, syn pierwszoplanowego działacza PZPR w województwie robi wśród strajkujących studentów.

– Wiesz, to wszystko już się wali, więc doszedłem do wniosku, że staremu już nie zaszkodzę – zaczął wodząc nerwowo oczami. – Poza tym – kontynuował – idzie nowe i nie chcę opierać się na kontaktach ojca.

– Jasne – powiedziałem, bo to były jeszcze czasy, kiedy nikomu do głowy nie przyszło, żeby robić problem działalności politycznej starego, mimo że ten stał po drugiej stronie barykady i to dość wysoko.

Pogadali my jeszcze chwilę jak to na strajku wypada – jak Polak z Polakiem, a potem protest rozwiązano, rzekłbym: po angielsku.

Włodek, jak okazało się po kilku latach, dobrze wystartował. Gdy towarzysze z PZPR przy pomocy, no może raczej bez drastycznych protestów tej części dawnej opozycji, która wzięła władzę, prywatyzowali się na państwowym majątku, mój kolega przeprosił się z ojcem. Pewnie w ogóle się nie pokłócili, grunt, że Włodek szybko zdyskontował układy tatki i wszedł w posiadanie jednej z knajp, która stała się szybko modna. I to wyrobiło mu pozycję w gdańskim światku biznesowym. Okazało się, że balast w postaci nazwiska ojca nie jest trefny dla tych, którzy szczerze uwierzyli w libe-

ralizm. Tak, tak, uwierzyli, a nie przekonali się do niego, studiując sumiennie dzieła Smitha czy modnego wówczas Friedmana. Uwierzyli, nadając poglądom liberalnym moc nadprzyrodzoną, co miało się zmaterializować w postaci szybkiego dochodzenia do fortuny. Stali się ideologami, dogmatykami liberalizmu.

To co odróżnia dogmatyka od pragmatyka, to dystans do głoszonych poglądów, których nie można zweryfikować w praktyce inaczej, jak na żywym organizmie. Dogmatyk jest gotowy zawsze poświęcić dla idei życie innych ludzi, pragmatyk będzie ważył racje i dozwalał lekarstwu obserwując zachowanie organizmu. Liberalowie neofici tworzyli kościół wiernych tak długo, jak długo pozwalało to im robić fortunę, często kosztem innych ludzi. Gdy przełożono wajchę w pozycję redystrybucja, porzucili z dnia na dzień swoje pryncypialne wolnorynkowe poglądy i stali się wyznawcami nowej wiary: kościoła Keynesa, Galbraitha, Stiglitz'a i Piketty'ego. Pieniądze zarobione na rynku okazały się już *passè*, teraz liczyła się kasa z budżetu, zwłaszcza, że Unia otworzyła szeroko sezam z pieniędzmi z podatków.

Obserwowałem tę mimikrę od początku z niesmakiem. Nie dlatego, że ludzie nie powinni zmieniać poglądów. Tylko krowa ich nie zmienia. Codziennie wypasana na polu, osiąga wyżyny stoicyzmu w oczekiwaniu na to, co nieuchronne. Homo sapiens musi

zmieniać poglądy, bo sam jest przyczyną zmian. To oczywiste. Jednak ci, którzy poglądy zmieniają z taką częstotliwością, jak niegdyś wielkie damy rękawiczki, skłonni są też zmieniać, dla osiągnięcia doraźnych celów, całe systemy wartości, które pchały cywilizację od wieków do przodu. Mówiąc wprost: gen skurwysyństwa uruchamia się w tych ludziach tak jak pasożyt, który dostosowuje się do zmian zachowań żywiciela. Oficjalnie lubią pokazywać się w towarzystwie ludzi twórczych i kreatywnych. Sami jednak nic nie tworzą. Korzystają. Pasożyтую.

Włodek był modelowym przykładem takiej „ekonomicznej” mimikry. W latach dziewięćdziesiątych zasiadał szeregi Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Brylował, co ciekawe, w konkurencyjnej dla swojego biznesu knajpie „Cotton Club”. Opowiadał w mediach bajki o swoim starym, którego nazywał partyjnym liberałem. Sam twierdził, że twórczo rozwinął postawę ojca, pokazując jakie korzyści może dać Polakom wolny rynek, deregulacja i prywatyzacja. Do czasu.

Kiedy Korwin-Mikke wyjechał w Sejmie z lustracją, w drugim rzucie teczek ktoś dokopał się do teczek tatki Włodzimierza. Okazało się, że rzeczony, będąc odpowiedzialny za pion ideologiczny, nawiązał ścisłą współpracę z SB i donosił na partyjnych towarzyszy, których uznał za reakcjonistów. Syn próbował wybielić ojca sprzedając lokalnej prasie łzawą historyjkę o ojcu,

który wystawiał SB wyłącznie twardy partyjny beton. Cały ten żenujący wywód na temat podwójnej konspiracji tatusia podsumował: „Ojciec podjął ryzyko, większe niż ówczesna opozycja. Gdyby ktoś się zorientował, że donosi na najgorszy partyjny beton, mógłby skończyć nie tylko w celi”. Takie niedopowiedzenie, które miało zrobić wrażenie na czytelnikach. Niestety miesiąc później jakiś namolny dziennikarz dokopał się do teczek tych towarzyszy, które stary Włodka kompletował w archiwach SB. Okazało się, że są w nich informacje o konkurentach donosiciela, którzy, jak on, aspirowali do wyższych partyjnych stanowisk. Ta ewidentna skaza na tatowym pomniku nie przerwała kariery mojego dawnego kolegi z podstawówki, ale siła dotychczasowych znajomości okazała się niewystarczająca do rozwijania interesów.

Kiedy do władzy wrócili komuniści, Włodzimierz próbował wskoczyć do czerwonego pociągu. Niestety okazało się, że skrzydło Millera i Kwaśniewskiego, mimo szorstkiej przyjaźni między nimi dwoma, ma jednoznaczny stosunek do ludzi, którzy byli jeszcze bardziej na lewo od nich. Starym działaczom ZSMP i PZPR były obce ideowo postmodernistyczne fikołki obecnej Lewicy w sprawach moralnych, więc uznali ujawnione donoszenie w ich szeregach za nieakceptowalne. Gdyby syn nie wyskoczył z obroną ojca, zapewne nie byłoby problemu. Ale pomimo, że

wspomógł kampanię SLD sporą sumką, przepadł, bo lewica miała już wtedy znacznie bardziej dzianych sponsorów.

Mój były kolega, żalił się innemu mojemu kumpłowi z klasy, którego spotkał kiedyś na imprezie karnewalowej w ulubionej knajpie gdańskich polityków:

– Wiesz Marcin, niepotrzebnie poręczyłem za starego. Tak naprawdę to zjechałem go jak psa, kiedy dowiedziałem się, że donosił. Dzięki mnie żył na starość jak pączus w maselku, a tu taki numer. Pytałem się go: No co ty liczyłeś, stary ośle? No na co? Że esbecja da ci medal „Za ofiarność i odwagę”? Żeby go bardziej zabolalo, wywalilem go z domu. Koniec, nie jesteśmy już rodziną. Wynająłem mu kawalerkę i powiedziałem: Radź se.

W tym wyznaniu nie było słowa prawdy. Tatusz mieszkał dalej z synkiem w willi w Gdyni, bo bez jego koneksji interesy Włodka przewróciłyby się jak klocki domina. Byli oficerowie bezpieki, obecnie biznesmeni lepszego sortu, przygarnęli syna swojego współpracownika, mimo że ten oficjalnie odcinał się teraz od ojca. Biznesy Włodzimierza zaczęły kwitnąć, zasilil drugi szereg najbogatszych ludzi w Polsce. I wtedy stało się coś nieoczekiwanego.

Włodzimierz pożeglował w stronę Porozumienia Centrum. Wolta polityczna biznesmena była na tyle trudna do zrozumienia, że nawet zajęli się nią

dziennikarze. Sam zainteresowany odmawiał komentarzy i zbywał pismaków wolnością poglądów. Po miesiącu dali mu spokój. W zakonie PC ścierały się wówczas dwie frakcje. Pierwszą tworzyły przydupasy prezesa, chodzące za nim krok w krok i gotowe ślepo wspierać jego najgłupsze pomysły i działania. Drugą biznesmeni czujący zapach dużej kasy z budżetu państwa i samorządów. Do czasu śmierci Lecha Kaczyńskiego, górami byli pretorianie wodza. Biznesmeni czekali na swoją kolej. Kiedy Kaczyński już zrozumiał, że bez zasobów jego partia niewiele wskóra na politycznej scenie, przełożył wajchę i zaczął otaczać się ludźmi, którzy mogli zapewnić jego partii nie tylko egzystencję od wyborów do wyborów, ale także rozwój i przejęcie władzy. Gdy to nastąpiło, część zakonu także zaczęła wspierać biznesmenów, bo spodobało im się życie w dostatku u ich boku. Te walki frakcyjne nigdy w PiS nie przebiegały według ściśle wytyczonych granic, bo też i wódz zmieniał zdanie z dnia na dzień, a strategię trzymał w tajemnicy. Złośliwi mówili, że dzielił się nią tylko z bratem, gdy odwiedzał jego grób na Wawelu. Kaczyński zrozumiał także to, co wcześniej pojął Tusk. Prawdziwe pieniądze nie leżą na rynku, kapryśnym i poddanym nieustanym zmianom koniunktury. Partia nie może sobie pozwolić na brak dopływu gotówki, tylko dlatego, że wspierający ich biznesmeni przeżywają okresowe kłopoty lub dlatego, że zainwestowali

w rozwój firmy. Z kolei największe tuzy polskiego biznesu, te nazwiska z pierwszych stron Forbesa, usamodzielnili się, i to oni teraz zdawali się rozdawać karty. To politycy zaczęli zabiegać o ich względy, więc konkurencja była duża.

Kaczyński nosząc wciąż totem antykomunizmu krzywił się za każdym razem, gdy frakcja biznesowa podsuwała mu pomysł pozyskania przychylności polskich Rotschildów i Rockefellerów. Ponieważ ludzie, tacy jak młodszy Kurski, wciąż kusili, a czasem tracili do szefa cierpliwość, bo sami chcieli zdyskontować sukces polityczny, materializując go wzorem konkurentów z Platformy, szybko po prawej stronie polskiej sceny politycznej pojawiły się nowe nazwiska.

Gdy PiS wygrał wybory, nadszedł czas żniw. Polacy mogli się wówczas przekonać o tym, o czym kilka lat wcześniej mogli przekonać się Amerykanie. Duże biznesy robi się nie w oparciu o klientów pozyskanych na rynku, ale w oparciu o budżet albo o spekulacje instrumentami finansowymi, których obrót na rynku jest oderwany od realnej produkcji dóbr i usług. Za przewały na spekulacjach i tak zapłaci podatnik. Nie ma pewniejszego płatnika niż podatnik. Potrzeby konsumentów zmieniają się nie tylko wraz z ich dochodami, ale także pod wpływem mody, wieku, miejsca zamieszkania, zainteresowań. Wymieniać można długo. Tymczasem podatki płaci każdy. Biedny i bogaty. Za tych

bardzo biednych, żyjących z socjału też ktoś płaci podatki. Biznes żyjący z budżetu to biznes pewny, o ile odpowiednio obstawi się kandydatów w wygranych wyborach lub wojnach. Natan Rotschild w XIX wieku na tym zbudował potęgę swojego rodu. Grozi to co prawda gilotyną lub strykiem w przypadku rewolucji, ale dopóki jej sztandar nie pokryje całej kuli ziemskiej, bogaci mogą spać spokojnie.

Jaki udział w tym wszystkim miał Włodek? Cóż, to co przeczytaliście wyżej jest rozwinięciem rozmowy z knajpy, której przebiegł streścił mi Marcin. Różne Włodki dzisiaj brylują w polityce, a moi bliźni toczą ze sobą wojny w rodzinach, ku uciechu tych skurwysynów.